Nr. 21. Poznań, Niedziela 26go maja 1895r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Zamieszanie.

Nigdy może nie ujawnił się tak wyraziście dziwaczny stosunek Koła polskiego do społeczeństwa jak w chwili obecnej, gdy po ustawie przewrotowej nic nie pozostało, prócz wspomnień walki przedśmiertnej i całego roju chłodnych nekrologów. Zupełne odgraniczenie posłów naszych od rzeszy wyborców, bezwzględna tajemnica osłaniająca całą działalność polskiej reprezentacyi w sejmie i parlamencie, wreszcie ten upór dziecinny, aby, na przekór coraz głośniejszym żądaniom społeczeństwa, nawet tam usta sznurować lub rolę Pytyi odgrywać, gdzie milczenie spowodować może fatalne zamieszanie i nieobliczone szkody sprawie publicznej wyrządzić, — oto rana bolesna chwili obecnej. Jakie zaś skutki ta bezprzykładna anomalia za sobą pociąga, o tem świadczy najwymowniej przykład następujący.

Gdy ustawę przewrotową złożono do grobu, podały wszystkie pisma berlińskie wiadomość, że Koło polskie głosowało za całym projektem komisyjnym z wyjątkiem § 111. Prasa polska, nie zasilana żadnemi informacyami z sekretaryatu reprezentacyi naszej, nie posiadająca z motywów finansowej natury własnych parlamentarnych korespondentów w stolicy i skazana na przepisywanie komunikatów prasy niemieckiej, powtórzyła bez wyjątku wieść alarmującą i oburzającą całe społeczeństwo. Nawet „*Dziennik Poznański*“, uchodzący za znakomite źródło informacyjne w dziedzinie życia parlamentarnego, zamieścił referat zgodny z wszystkiemi szczegółami dzienników berlińskich. Dla uprzytomnienia czytelnikom naszym tego sprawozdania cytujemy następujące wyjątki:

W Nr. 109 streszcza „Dziennik Poznański“ obrady nad § 111 projektu komisyjnego i taką w końcu podaje informacyę: „*Za uchwałami komisyi głosowało tylko centrum i konserwatysta Massow.*“ Według tej relacyi zatem Koło polskie głosowało przeciw § 111.

W Nr. 110 publikuje „Dziennik Poznański“ końcowe sceny kampanii parlamentarnej i w sprawie § 112 taką zamieszcza wiadomość: „*Uchwałę komisyi odrzucono przeciw głosom centrum i Koła polskiego*“. Koło polskie głosowało zatem za § 112.

Następnie podaje „Dziennik“ wniosek posła Richtera o głosowanie bez dyskusyi nad dalszemi paragrafami ustawy i kończy sprawozdanie swoje w słowach następujących.

„W ciągu głosowania nad projektem rządowym głosował nad poszczególnemi paragrafami wśród wielkiej wesołości izby tylko jeden konserwatysta, zawsze inny. **Za uchwałami komisyi głosowało tylko centrum i Koło polskie.** Wniosek centrum o obostrzeniu przepisów karnych przeciw pojedynkom odrzucono przeciw głosom centrum i Koła polskiego. Za skreśleniem t. zw. ambonowego paragrafu (Kanzelparagraph) głosowało także tylko centrum i Koło polskie. Na tem cały projekt w wszelakiej formie definitywnie odrzucono i petycye, które nadesłano parlamentowi w sprawie projektu, tem samem załatwiono“.

A zatem „Dziennik Poznański“ oświadczył wyraźnie, że Koło polskie głosowało za całym projektem komisyjnym, z wyjątkiem § 111, i doniesienia tego nie sprostował ani jednem słowem. Oparci na takiem źródle informacyjnem i na równobrzmiących referatach najpoważniejszych dzienników niemieckich, zamieściliśmy w ubiegłym tygodniu artykuł p. t. „Niepoprawni“, zawierający poważną krytykę przedstawicieli naszych w parlamencie niemieckim, którzy, wbrew opinii publicznej, wbrew głośno zamanifestowanej woli narodu, głosy swoje oddali za całym projektem komisyjnym z wyjątkiem jednego paragrafu. Nagle, — już po wydrukowaniu artykułu i złamaniu pierwszych stronnic „Przeglądu“, — ukazuje się w piątek wieczorem mowa posła Czarlińskiego, zawierająca następującą uwagę:

„Niektóre z pism podały wiadomość, powtórzoną następnie także przez kilka pism polskich, że Polacy głosowali za projektem przewrotowym. To jest po prostu nieprawdą. Uważam to wprawdzie nie za umyślny, ale po naszych oświadczeniach za trudny do wytłomaczenia fałsz, który niniejszem odpieram z całą stanowczością i oburzeniem.“

Mimo „stanowczości i oburzenia“, ktoremi Szanowny poseł odpiera wiadomości prasy niemieckiej i polskiej, uderzyć musi każdego dziwnie ogólnikowy ton rzekomego sprostowania. Niewyjaśnionem bowiem pozostaje: 1) Czy poseł Czarliński mówi o „projekcie przewrotowym“ w brzmieniu ustawy rządowej, czy w brzmieniu uchwał komisyjnych. 2) Jeżeli istotnie, — a takie jest nasze mniemanie, — słowa jego dotyczą projektu komisyjnego, to mimowoli nasuwa się pytanie, czy posłowie polscy głosowali przeciw całej ustawie bez wyjątku, czy też tylko przeciw kilku jej paragrafom. Możliwe są tu trzy przypuszczenia, które ująć można w ramy ogólnikowego sprostowania: a) Koło polskie stanęło w opozycyi do wszystkich uchwał komisyi. b) Koło polskie głosowało tylko za nieznaczną cząstką ustawy komisyjnej i protestuje przeciw pogłoskom, jakoby głosowało za całym projektem. Czemuż jednak nie wyszczególnia swego „za“ i „przeciw?“ c) Koło polskie głosowała za ustawą komisyjną, z jedynem wyjątkiem § 111, i zaprzeczeniem swojem pragnie temu wyjątkowi nadać ogólniejsze i tem samem donioślejsze znaczenie.

Zamieszania tego nie usunęło również oświadczenie „Gońca Wielkopolskiego“, że Koło polskie głosowało tylko za zniesieniem „paragrafu ambonowego“ i za „ściślejszem przestrzeganiem moralności“. Pomijając nieurzędowy charakter tego komunikatu, to określenie w drugiej części jest tu znowu tak ogólnikowem i elastycznem, że trudno nam wobec niego jakiekolwiek zająć stanowisko. W pismach berlińskich nie pojawiło się dotychczas również żadne sprostowanie, a na telegraficzne zapytanie u jednego z referentów parlamentarnych do gazet wiedeńskich i warszawskich otrzymaliśmy taką odpowiedź: „Koło polskie głosowało przeciw § 111, zresztą za całym projektem komisyjnym“. Wobec tak niejasnej sytuacyi cofnąć jeszcze nie możemy krytyki naszej, zawartej w artykule p. t. „Niepoprawni“, a uczynimy to dopiero wtedy, gdy „Koło polskie“ zdecyduje się przemówić wyraźnie i wyszczególnić według liczbowych oznaczeń te paragrafy, za i przeciw którym głosowało; o przebiegu sprawy przekona nas ostatecznie urzędowe sprawozdanie, którego dotychczas redakcye nie otrzymały, ale stanowisko posłów naszych posiada takie znaczenie i tak niepokojąco wpływa na opinię, że „Koło polskie“ powinno natychmiast uwiadomić prasę o szczegółach głosowania. Otwartej i szybkiej informacyi wymaga stanowczo interes społeczeństwa.

Tyle co do istoty tej mętnej i zawiłej sprawy, która na niezdrowe stosunki zaboru pruskiego znów dziwnie charakterystyczne rzuciła światło. Społeczeństwo rwie się do urny wyborczej, wysyła przedstawicieli swoich do Berlina, powierza im obronę spraw najżywotniejszych a w końcu nie wie, jak posłowie jego głosowali, czem są, co czują, co myślą. Jest to tak straszna ironia parlamentaryzmu, takie sztuczne umałoletnienie rzeszy wyborców, tak niesłychana anomalia w dziejach polityki europejskiej, że chwilami doznaje się wrażenia, jakoby to wszystko było tylko jakąś legendą

o nieistniejącej krainie, czemś w rodzaju tajemniczej „Utopii“. Potrzebę muru chińskiego między posłami a społeczeństwem uzasadnia „Koło polskie“ względami dyplomatycznemi, ale zapytujemy się, jaka dyplomacya wymagać może gry w ślepą babkę tam, gdzie nic innego nie stanowi kwestyi spornej, tylko ścisłe informacye o głosowaniu posłów polskich na publicznem posiedzeniu parlamentu.

I nie rozumiemy też owych doniosłych względów taktycznych, które najgłębszą tajemnicą osłaniają stanowisko posłów poszczególnych w żywotnych kwestyach natury politycznej lub ekonomicznej. Solidarność Koła polskiego na zewnątrz jest nieodzownym warunkiem skutecznej działalności w życiu parlamentarnem, ale solidarność Koła polskiego na wewnątrz, — to zaryglowanie ust poselskich wobec wyborców, ten obowiązek nałożony na posłów, aby zawsze wobec społeczeństwa występowali jako wyraz „Koła“ a nigdy jako polityczna indywidualność, to ostatecznie równa się komendzie: „Wybierajcie posłów waszych na oślep, nie znając ich zasad politycznych, ich stanowiska w Kole, ich stosunku do was!“ W takich warunkach ustaje wszelka krytyka, bo jakże pociągnąć poszczególnych wybrańców społeczeństwa do odpowiedzialności, jeźli żadnemu z nich nie wolno powiedzieć głośno, czy to lub owo zapatrywanie reprezentował w Kole, czy należał do zwycięzkiej większości lub zwyciężonej mniejszości, czy głosował jedynie pod presyą solidarności, czy też w zgodzie z własnym mózgiem i sercem. A tych egipskich ciemności broni Koło polskie z dziwną zaciętością, o czem w najświeższym czasie zaświadczyła znowu sprawa dr. Krzymińskiego. Kujawski poseł odważył się zakomunikować wyborcom w otwartym liście poglądy swoje na ustawę przewrotową i w mgnieniu oka ozwały się na alarm moździerze „Kuryerowe“, a Koło polskie wyraziło poufne niezadowolenie z postępowania posła-kolegi, aczkolwiek krytyki swojej nie ujęło w formę „wotum niezaufania“.

Idziemy zatem do urny wyborczej i głos nasz oddajemy na żywe domyślniki lub znaki zapytania, — tego pragnie „Koło“ i garść patronów absolutyzmu politycznego. Takim stosunkom jednak rzuca rękawicę zdrowe społeczeństwo i woła coraz głośniej, aby wobec rządu stała tylko frakcya, wobec społeczeństwa poseł-jednostka.

POLITYKA.

Konflikt ministeryalny na Węgrzech.

I.

Buda-Peszt, 18 maja.

Rozgrywający się dziś na Węgrzech kryzys ministeryalny przybrał rozmiary podstawowej kwestyi międzynarodowego prawa. — Historya jego, nader prosta, da się streścić w niewielu słowach. Nuncyusz papiezki, kardynał Agliardi pojechał był na dni parę do Węgier. Zachowaniem się swem zrodził on zarówno w narodzie jako też i w kołach rządowych przekonanie o agitacyjnych celach swej podróży. Liberalna prawica, stojąca dziś u steru spraw państwowych, nie pokryła faktu tego milczeniem. Z łona jej pojawiła się interpelacya, w odpowiedzi na którą prezes ministrów Banffy oświadczył, iż wraz z ministrem spraw wewnętrznych uczynił już odpowiednie kroki, żądając od Watykanu wytłomaczenia nietaktownego postępowania kardynała Agliardi. W parę dni potem pojawia się artykuł Kalnoky'ego, potępiający w możliwie najsurowszy sposób oświadczenie węgierskiego prezesa gabinetu. Pociągnęło to za sobą cały szereg owych not i kontrnot, któremi wszyscy reporterzy pism całego świata tak bardzo dziś się zajmują.

Po za ową zasłoną interesujących wiadomości dnia ukrywają się wszakże dwie nader poważne kwestye.

Pierwsza z nich to owa odwieczna sporna sprawa stosunku kościoła do państwa. Pozornie rozstrzygnięta przez nasze stulecie — wyszła dziś ona na Węgrzech w nowej formie na jaw. Czy nuncyusz papieski jest przedstawicielem głowy kościoła, czy też reprezentantem dyplomatycznym jednego z panujących władców — oto jej treść właściwa. W pierwszym wypadku reprezentowałby on władzę papieską przed całym narodem, w drugim jedynie wobec poszczególnych rządów. W pierwszym wypadku musiałoby mu z konieczności rzeczy przysługiwać prawo przemawiania do katolików danego kraju, zarówno do książąt kościoła, jako też i do całej rzeszy wiernych, w drugim musi mu to być wzbronionem. W pierwszym wypadku należy mu się prawo mięszania do wewnętrznych spraw kraju, mianowicie do wszelkich kwestyi religii i sumienia, w drugim będzie to przekroczeniem zakresu jego kompetencyi.

Powszechną tendencyą doby dzisiejszej — jest rozgraniczenie władzy duchownej od świeckiej. Kościół ma mieć pozostawioną zupełną swobodę w sprawach wiary i moralności, natomiast zaś winien być pozbawionym prawa mięszania się do spraw politycznych. Zasadę tę przyjęły wszystkie niemal państwa europejskie. Czy jednak tem samem rozstrzygnęły one ostatecznie ów spór, który się od czasów walk o inwestytury po dziś dzień ciągnie. Bynajmniej. Już istnienie podobnych konfliktów, jak ten, co się teraz na Węgrzech rozgrywa, dowodzi, że tak nie jest, że rozstrzygnięcie było powierzchownem jeno.

I w rzeczy samej, jeśliby owo rozgraniczenie kompetencyi władzy duchownej i świeckiej było całkowitem, — w takim razie nie miałby najmniejszej racyi bytu przedstawiciel głowy kościoła przed kierownikami władz państwowych. Nuncyusz papieski przy dworach panujących byłby anomalią, rzeczą sprzeczną samą w sobie. Jeśli wszakże tak jest, dowodzi to, że w rzeczywistości sprawy świeckie zahaczają wciąż o duchowne, że polityka państw dzisiejszych musi co chwila zatrącać o kwestye sumienia obywateli kraju, i odwrotnie.

Na cóż się jednak przydadzą w takim razie najściślejsze, najlogiczniejsze nawet dedukcye z ogólnych zasad, gdy zasady te przeprowadzone są raczej w traktatach międzynarodowego prawa, niż w istniejących u rządów i narodów poglądach. Gdy staniemy wobec pierwszej lepszej trochę więcej zawiłej kwestyi — będziem musieli zawsze przyjść do tak niejasnego, nieokreślonego wyniku, jak odpowiedź hr. Kalnoky'ego na notę węgierskiego prezesa gabinetu: „Nuncyuszowi papieskiemu należy się wszelka względność, wtrącać się wszakże do spraw wewnętrznych kraju nie ma on prawa“.

Lecz przecież sprawy ślubów wkraczają i w dziedzinę religii, a nuncyusz papieski jest dostojnikiem kościoła. Jako takiego zaś muszą go obchodzić sprawy religijne wiernych wszelkiej narodowości, bo kościół jest międzynarodowy. Czyż względność dla posłannika Ojca św. nie nakazywałaby pozostawić mu wszelką swobodę w pełnieniu swych obowiązków?

I oto widzimy, jaka sprzeczność kryje się w słowach austro-węgierskiego ministra spraw wewnętrznych.

Takąż samą nierozwiązalną dziś antynomią jest całe stanowisko rządu węgierskiego. Za pomocą praw o ślubach cywilnych, o recepcyi żydów, o przechodzeniu z jednej religii do drugiej, o gminach bezwyznaniowych — chce dojść do ścisłego rozgraniczenia kompetencyi władz

---

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

KOSTECKI.

I co ty na to, Zygmuncie?

WOLSKI.

To Pyrrhusowe zwycięstwo. Choć dziś padniemy, jutro nasze....

WISŁOWSKI.

Aura popularis! Jesienna pogoda! Na rękach nosili Wisłowskiego, a dziś ciągną rydwany Wareckich.

KOSTECKI.

Winujmy siebie, nie innych. Oni zręcznie jak frygi tańcują przed ludem, a my z szlachetną powagą prawimy o wielkiej idei demokratycznej. Radziłem nieraz bić ich własną bronią, zastawiać sidła i zatrzaski. Napróżno! Tobie, Zygmuncie, każda sztuczka grzechem się wydaje. Ot! macie rezultat. Polityczne kuglarstwo zwyciężyło polityczną cnotę.

WOLSKI.

Do kuglarstwa zniżyć się nie mogę.

WISŁOWSKI.

Ale w artykułach pańskich jest miękkość pewna od kiku miesięcy. *Nihil admirari!* I ja się nie dziwię, że Samson znalazł Dalilę swoją (*śmieje się*).

WOLSKI.

Co to znaczy? (*Chwila milczenia*). Czemu milczycie? Jeżeli przed sąd wzywacie, ja się nie ulęknę. Miesiące całe, za dnia i w nocy, jak pies warowałem na straży Trybuny i nikt tam nie wtargnął, nawet żona moja. Miotacie oszczerstwa! Dowodów... ja dowodów żądam.

KOSTECKI.

Nie chcę cię oskarżać, Zygmuncie, ale żal mi, że wszystkie rachunki sumienia, ktore zaprezentować chciałem Wareckim pokaleczyłeś ołówkiem czerwonym. Lepiłem satyry, a tyś im jelita wypruwał. (*śmieje się*) I to się polityką zowie.

WOLSKI.

Uczciwością, mój drogi. Każdy twój artykuł to kłamstwo, a ja kłamstwem nie splamię Trybuny. Nie jaskrawą zemstą motłochu, lecz bohaterstwem lśnić powinno zwycięstwo nasze.

KOSTECKI.

Bawisz się w sentymentalizm. Etyka w polityce, to frak i lakierki w zadymionej kuźni, to broń biszkoptowa wobec zwierząt dzikich. Idź do lasu i palnij rozbójnikom kazanie o miłości bliźniego. Zarżną cię jak kurczę. Czyż nas Bismark tak mało nauczył? Czyż wiecznie Irydjon i Psalmy będą ideałem polityki naszej? Daruj! ale robisz istotnie wrażenie politycznej pensyonarki.

WOLSKI.

O! za pozwoleniem. Zwycięstwo oparte na sztuczkach kuglarskich jest nikłe jak bańka mydlana. (*wchodzi Frania*) Co tam?

FRANIA.

Jakiś człowiek przyszedł i chce się widzieć z panem.

WOLSKI.

Jak się nazywa?

FRANIA.

Mówi, że Turkiewicz.

WOLSKI.

Kto to być może? (*po chwili namysłu*) Wprowadź go. (*Frania wychodzi, Wolski zamyśla się.*) Turkiewicz? Coś mi się przypomina... (*wchodzi Turkiewicz, w ręku trzyma pakiet owiązaną chustką czerwoną*).

Scena V.

Ciż i Turkiewicz.

TURKIEWICZ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

WOLSKI.

A! to ty poczciwcze! No i cóż tam przynosisz?

ścielnych i świeckich. Same już jednak przeprowadzenie ślubów cywilnych równoważy się wdzieraniu władz cywilnych w kwestye sumienia. Gdzież więc konsekwencya!

Spojrzmy na drugą z obu stron walczących. I w jej zachowaniu się nie mniej jest sprzeczności. Broni ona niby wolności sumienia, jednocześnie wszakże niechce przyznać tej swobody w kwestyach wiary, której dla siebie się domaga, innym wyznaniom, naprzykład mojżeszowemu, lub też gminom bezwyznaniowym.

Zarówno więc liberalna jak i ludowa (klerykalna) partya są winne i winne w jednakowej mierze. Obie one grzeszą niekonsekwencyą, brakiem wierności wobec zasad swoich, które stosują wtedy tylko, gdy własne ich interesy na tem zyskują.

Pytać się, kto pierwszy tu zawinił, byłoby zbyteczne i próżne. Przyczyna wszystkich tych sprzeczności i niekonsekwencyi leży nie w poszczególnych partyach lub rządach. Znajduje się ona głębiej, — w panującej dziś u wszystkich europejskich narodów moralności.

Wielka rewolucya francuzka ogłosiła była prawa człowieka — lecz człowieka politycznego. Indywiduum ludzkie, jednostka kulturalna, etyczna, została nadal pozbawioną ich, jak była poprzednio. Wiek XIX nadał ludom europejskim prawo przedstawicielstwa ich interesów politycznych i ekonomicznych, lecz nie udzielił najważniejszego ze wszystkich ludzkich praw jednostce, prawa czuć i myśleć tak, jak ona tego chce, jak tego jej duchowy całokształt wymaga. Klasycznym przykładem prawdy tej jest zachowanie się centrum w czasie ostatniej kadencyi parlamentu rzeszy niemieckiej. Z emfazą głosiło się ono obrońcą prawa powszechnego głosowania i w tymże samym czasie przeprowadzało w komisyi dla „ustawy antyprzewrotowej“ projekta najsroższych ograniczeń swobody myśli i słowa. Dziwić się temu nie można. Geneza dzisiejszej oficyalnej cywilizacyi, co wynikła z walki interesów ekonomicznych stanu przemysłowego z feodalnem państwem — położyła niezatarte piętno na wszystkich jej przejawach. Jak w „zgromadzeniu narodowem“ hasła wolności i równości, deklaracya praw człowieka były jeno konsekwencyą lub przesłanką zdania Mirabeau „Czem jest stan trzeci? Niczem. Powinien być wszystkiem!“ — tak też i dziś zasady polityczne, prawno-państwowe, administracyjne zawsze i wszędzie są dekoracyą tendencyi gospodarczych. — A tam, gdzie prądy ekonomiczne życie społeczeństw niemal wyłącznie regulują, — tam nie ma miejsca dla praw indywiduum, dla swobody myśli i czucia poszczególnych jednostek *ludzkich*. Jednostką *ekonomiczną* bowiem jest nie człowiek, lecz klasa producentów!

W jakąż to jednak parodyą musiały się wszystkie owe swobody głosowania, prasy, zgromadzeń, owa zasada autonomii kościoła i państwa obrócić, gdy brakło najważniejszej i jedynie niewzruszalnej podstawy wszelkich swobód, wolnej, nieskrępowanej jednostki ludzkiej. Zrodziły one w swym rozwoju z konieczności rzeczy walkę kulturną i prawa wyjątkowe i ucisk narodowościowy i projekt ustawy antyprzewrotowej, no i dzisiejszy konflikt Banffy'ego z kardynałem Agliardim. Bankructwo parlamentaryzmu będzie też coraz głębszem, konflikty władz kościelnych z cywilnemi będą się coraz więcej z dniem każdym mnożyć, nić dzisiajszej cywilizacyi rwać się będzie coraz częściej, — aż póki ludzkość nie pojmie, że moralność dzisiejsza, co każe bliźnich inną miarą mierzyć, niż siebie samego, z gruntu jest fałszywą. Podobnych sprzeczności, jak ta, która w sprawie węgierskiego kryzysu ministeryalnego na jaw wyszła, — dzisiejsze życie kryje w sobie setki i tysiące. I nie zostaną one rozwiązane, póki ludzkość nie nauczy się tolerancyi, nie nauczy się cudzej jednostki szanować.

Lecz, by to się stało możliwem, należy, by życie całe inaczej się złożyło, by nie na materyalizmie interesów gospodarczych, lecz na kulturze pierwiastków duchowych się wsparło. I w tym celu trzeba dominującą dziś ponad wszystkiemi innemi przejawami życia zbiorowego walkę ekonomiczną zakończyć lub przynajmniej złagodzić. Bo gdy namiętności ludzkie są rozhukane, gdy masami uczucia glodu rządzą, gdy zmysły nie są zaspokojane — o życiu duchowem, o pielęgnowaniu skarbów myślowych i uczuciowych mowy być nie może. Sprawy etyki i zagadnienia myśli wysuną się na plan pierwszy dopiero wtedy, gdy kwestye żołądka zostaną rozwiązane.

I dla tego, choć również winny, — bliższym nam jest ruch liberalny od klerykalnego na Węgrzech, bo toruje on drogę do ostatecznego załatwienia poruszającego dzisiejsze społeczeństwa konfliktu ekonomicznego, który im prędzej zostanie zakończonym, tem bliższem będzie zwycięstwo ducha nad materyą, praw myśli nad prawami żołądka, indywiduum kulturalnego nad indywiduum politycznem.

Str.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„*Gazeta Grudziądzka*“ poświęciła w nr. 57 i 58 dwa energiczne artykuły politycznej działalności księży germanizatorów, nawiązując do smutnej historyi procesu sztumskiego. W artykule p. t. „Przekupnie w świątyni Pańskiej“ czytamy:

„Stosunki kościelne w dzielnicy naszej z dnia na dzień się pogarszają. — „Germanizacya przez kościół“, to dzisiaj już nie pusty frazes, nie widmo istniejące tylko w wyobraźni „agitatorów polskich“, to smutna rzeczywistość. „Germanizacya przez kościół“ dokonuje się u nas jawnie, a ci, którzy ją uprawiają, działają z wszelką świadomością. „Kto ma oczy ku widzeniu“, ten to widzieć musi, chyba, że widzieć nie chce, że umyślnie sobie oczy zasłania.

Nie chcemy tem bynajmniej powiedzieć, że Kościół nasz święty pochwala germanizacyą, że zgadza się na wydarcie Polakom języka ojczystego w zamian za udzielanie łask, których źródłem jest Chrystus Pan, broń Boże!...

Powiedział jednakże Chrystus Pan, że w Kościele jego znajdzie się kąkol między pszenicą, to też są księża, którzy, niegodni szaty kapłańskiej, gwałcą odwieczne zasady Kościoła, wydzierają ludowi polskiemu język jego ojczysty, wciskają do życia kościelnego zasady niemoralnej polityki świeckiej i zapominając, że są kapłanami, postępują z powierzonemi ich pieczy owieczkami, jak najemni siepacze władz świeckich.

Jakże się potem dziwić, że przychodzi do takich zajść jak w Sztumie! Rozpacz jest bowiem złym doradzcą...

Pobudki, któremi się germanizatorzy w postępowaniu swem kierują, są czysto materyalnej natury. O względy rządu im chodzi! Prześladowaniem Polaków, germanizowaniem ich pragną sobie widocznie utorować drogę do dobrego probostwa, lub kanonikatu rządowego, albo wytargować sobie orderek lub podobną błahostkę.

Słowa Chrystusa Pana o dobrym pasterzu, który daje życie za swe owieczki, mało ich widocznie obchodzą, oni wolą, że owieczki dają życie i swe moralne, życie swej duszy za ich wygody doczesne.“

W drugim artykule p. t. „Bardziej rządowi od samego rządu“ krytykuje „Gazeta Grudziądzka“ rozporządzenie ks. biskupa warmińskiego, aby od członków dozoru kościelnego odbierać przysięgę w języku niemieckim.

Rozporządzenie to spowodowało, jak wia

TURKIEWICZ.

Nic wesołego wielmożny, panie. Śmierć... (*obciera oczy.*)

WOLSKI.

Co się stało?

TURKIEWICZ.

Mój pan umarł dziś w nocy.

WOLSKI.

Co? Warecki?

TURKIEWICZ.

Nie! to nie mój pan. Ja jedno państwo miałem... (*łkając*) 20 lat służyłem u Ruszczewskich, a teraz koniec... koniec.

WOLSKI.

Co? umarł Ruszczewski?

TURKIEWICZ.

Te Karłowice to śmierć była dla pana mojego. Wciąż gryzł się i płakał, a gdy się pytałem, zkąd mu się bierze ten smutek, to tylko głowę ściskał i mówił, że czas mu umierać. A potem sprzedaliśmy wieś... Czemu? pytać nie śmiałem, bo jak ci panowie z miasta przyjechali, to taki bledziuchny był jak ta firanka. Myślałem, że jak na bruku zamieszkamy, to ten smutek minie, ale mój Wielmożny wnet się zaczął pokładać i więcej też nie wstał. Nic nie mówił, tylko myślał, wzdychał i łzy ocierał, a jak mu gazety przyniosłem, to tak patrzał, jakby złe zobaczył.

WISŁOWSKI.

To głos sumienia.

WOLSKI.

Cóż dalej?

TURKIEWICZ.

Jakoś tak było koło piętnastego jak mu wieczorem na stół położyłem dzienniki, a gdy wróciłem do pokoju, to siedział nad gazetami i ledwom go poznał, bo taki siny był i takie dzikie miał oczy.

KOSTECKI.

To nasze artykuły.

TURKIEWICZ.

Słyszałem, jak całą noc chodził po pokoju, jakieś listy z biurka wyciągał, wszystko włożył do wielkiej koperty i zapieczętował. Na południe położył się do łóżka i już też więcej nie wstał. Strach mnie brał i zawołałem doktora. Opukał, omacał, zapisał coś i poszedł. A mój pan mnie zawołał, za rękę chwycił i mówił: Mnie już tam śmierć w oczy patrzy. Gdy umrę, weź te papiery (*rozwija chustkę*) i zanieś je panu Wolskiemu, a nikomu ich nie pokazuj, tylko jemu samemu. I jak mówił, tak się też stało. Dziś w nocy przy nim czuwałem, a koło pierwszej godziny podniósł się nagle, za serce chwycił i już go nie mogłem ocucić.

KOSTECKI.

Ten żal po występku z czystej spekulacyi jest trochę dziwny.

WOLSKI.

Listy rozwiążą zagadkę. Daj mi te papiery.

TURKIEWICZ. (*podaje wielką zapieczętowaną kopertę, w której znajduje się kilka arkuszy papieru*).

To ostatnia wola mojego pana.

WOLSKI (*rozdziera kopertę i czyta*).

Boże! (*czyta dalej. Wisłowski i Kostecki zaglądają przez ramię Wolskiego.*)

KOSTECKI.

To jakieś ciekawe dokumenty.

WISŁOWSKI.

To list z podpisem Wareckiego.

WOLSKI (*zwijając listy półgłosem*).

Wyrządziliśmy straszną krzywdę. (*głośno*) Turkiewicz! Gdyby pieniędzy na pogrzeb nie starczyło, to zgłosisz się do mnie. A teraz idź, zajmij się trumną i cmentarzem. O służbę się nie troszcz. U mnie ją znajdziesz.

TURKIEWICZ.

Bóg zapłać. (*idzie ku drzwiom, lecz zwraca się u progu*). A niechta o nieboższczyku ładnie napiszą w gazetach, bo to dobry był pan, bardzo dobry.

WOLSKI.

Dobrze, mój stary! Idź już. (*Turkiewicz wychodzi*).

Scena VI.

Wolski, Wisłowski, Kostecki.

WOLSKI.

Sprzedaż Karłowic to komedya ze strony Wareckich. Ruszczewski był podstawiony, Karłowice kupione symulacyjnie.

domo, niesłychane rozgoryczenie, wojnę prawdziwą z proboszczem, a w następstwie proces sztumski. „Gazeta Grudziądzka“ uważa już sam postulat przysięgi za bezprawie, nie podyktowane nawet ustawą majową, a mianem niesłychanego nadużycia piętnuje żądanie, aby Polacy w języku niemieckim składali przysięgę. Końcowy ustęp artykułu brzmi:

Jest to niesłychana dotąd rzecz w dziejach kościelnych naszej dzielnicy, jest to niebywałym gwałtem, zadanym już nietylko uczuciom narodowym, ale i religijnym! Bo jeżeli gdzie, to w sprawach religijnych powinna panować wszelka swoboda, jeżeli kiedy, to w modlitwie, w rozmowie z Stwórcą swoim powinno każdemu być dozwolonem przemawiać w tym języku, który najlepiej wyraża jego uczucia!

Nakaz biskupa warmińskiego, dotyczący odbierania przysięgi od nowowybranych członków dozoru kościelnego przysięgi i to w języku niemieckim, nie da się więc niczem a niczem usprawiedliwić, to też my potępiamy go jak najstanowczej i protestujemy już naprzód przeciwko możliwym dalszym tego rodzaju nadużyciom. Dziwnie, oj dziwnie się to czasy zmieniają!

Dawnemi czasy stawali biskupi zawsze po stronie uciśnionych i bronili ich, o ile to było w ich mocy, przed uciskiem, dziś łączą się z ciemiężcami i starają się wspólnie z nimi wydrzeć narodowi, który w boju za wiarę św. zawsze wszystkim przodował, a dziś jest słabym, uciśnionym, sponiewieranym — język jego ojczysty, ten ostatni skarb, który mu po utracie wolności pozostał.

Zdawałoby się, że obudziły się w naszem życiu kościelnem dawne krzyżackie tradycye. Oby one nie zaprowadziły tych, którzy je uprawiają, dokąd zaprowadziły Krzyżaków...

—

O wystawie poznańskiej zamieszcza „*Goniec Wielkopolski*“ (nr. 116) następujące szczegóły:

Na ogólną liczbę 670 wystawców przypada zaledwie 150 Polaków!

Jest to liczba niewielka; gdy sobie jednak rozważymy, że tylko około 370 wystawców zamieszkuje w Księstwie, a reszta 300 nie powinna „ritu“ mieć wcale prawa wystawiania, gdyż nie pochodzi „z prowincyi poznańskiej“, wtenczas kalkulujemy tak, że wystawa mogłaby była podnieść opinią o przemyśle polskim, gdyby się trzymano ściśle zakresu Księstwa. Wobec napływu firm niemieckich z cesarstwa, wnioskować musimy, iż forytowano tendencyjnie przemysł niemiecki na niekorzyść przemysłu polskiego.

Oto dowody:

Berlin dostarczył wystawców ca. 50, Wrocław 40, niemieckie prowincye 130.

W przeciwieństwie do tych danych, wystawia Polaków, mieszkających poza obrębem Księstwa tylko około 25, z których na Galicyą samą przypada ca. 15.

Przypatrzmy się teraz Poznaniowi:

Firm polskich poznańskich zgłosiło się ca. 80, niemieckich 130.

Księstwo natomiast dostarczyło:

Polaków wystawców ca. 60, Niemców 90.

Prócz tego reprezentowane będą na wystawie dość licznie Austrya, a następnie także Londyn, Sztokholm, i t. d.

I to się nazywa wystawą prowincyonalną!!

Nie łudźmy się zatem więcej i rezygnujmy ze współzawodniczenia na punkcie narodowościowym. Utoniemy na tej wystawie, gdyż na jednego Polaka przypada trzech obcoplemieńców.

Jeżeli się teraz kto zapyta: a jakże z równouprawnieniem językowem? — to mu na to odpowiedzieć musimy, iż Niemcy na Polaków względu mieć nie będą, i że każdemu wystawcy wolno wedle upodobania umieszczać napisy, rozdawać druki, oferty i t, p. polecenia.

—

Z powodu germanizacyjnych zakusów duchowieństwa, które pośrednio przyczyniły się do procesu sztumskiego, takie zamieszcza uwagi „*Orędownik*“ w nr. 114:

„Że rząd pruski po wydaniu znanych rozporządzeń szkolnych, także tych, które tyczą języka, w jakim ma być udzielana nauka religii, stara się i przez stosunki i wpływy Kościoła działać w duchu swej polityki językowej — to, jakkolwiek ta rzecz jest dla ludności polskiej bardzo bolesną — z stanowiska czysto pruskiego można jeszcze uważać jako naturalną konsekwencyą systemu pruskiego w obec żywiołu polskiego.

To wszystko ludność polska może ścierpieć i znieść, bo musi, a że musi i widzi z jednej strony niewzruszoną stałość, władzę i siłę u rządu pruskiego, z drugiej zaś strony, że się nawet nadzieją łudzić nie może, ażeby jakaś zmiana w tym systemie nastąpiła, więc szuka jakiegoś sposobu wyjścia i zarazem ratunku, i znajduje go w tem, że się urządza tak, aby narodowość swą — mimo to wszystko — zabezpieczyć. Dzieje się to wszystko w drodze cierpienia i cierpliwości, w drodze ciężkich strat moralnych i majątkowych, ale prawodawstwo i instytucye pruskie pozostawiają przy tem jeszcze pewną przestrzeń wolnego powietrza dla oddechu, gdzie *dusza polska nie czuje gwałtu*.

Ten stan Polaka od razu się jednak zmienić musi, gdy w jego sercu polskiem zrodzi się podejrzenie, że niektórzy księża, niektórzy biskupi w dziedzinie Kościoła: przy konfesyonale, na ambonie, przy chrztach i ślubach, na chórze zaczynają ograniczać jego język ojczysty. Rząd może jeszcze swój system uzasadniać jakąś wyższą polityką, władzą, wreszcie siłą; atoli przy księżach i biskupach nikt nie zrozumie, żeby ograniczanie języka ojczystego i nastawanie na parafian za to było koniecznie potrzebne do zbawienia dusz ludzkich. Gdzie się księża i biskupi tego dopuszczają, tam musi nastąpić krwawe zadraśnienie serc polskich, wprost serc ludzkich, tam się ukazuje *gwałt sumienia ludzkiego katolickiego*; tam już nie ma wolnego miejsca do oddechu, jaki nam jeszcze pozostawiają prawodawstwo i instytucye pruskie!

To jest ogromna różnica!

Tam po ludzku sądząc, ludność polska musi przychodzić do przekonania: że się dostaje między dwie siły, między rząd a księży i biskupów; — że księża i biskupi, którzy świadomie czy nieświadomie ograniczają swobodę używania języka polskiego, stają się de facto prawą ręką germanizacyi.

Ludność polska wyobrazi sobie jeszcze i wyrozumie zasadniczego germanizatora w ministrze pruskim, w prezesie rejencyjnym, w pow. inspektorze szkolnym, ale na widok germanizatora księdza i germanizatora biskupa musi się zatrząść w niej cała dusza. Tam musi nastąpić zaniepokojenie sumienia, zakłócenie umysłów. Poznański „Tageblatt“, jeżeli nie chce tego uznać, niech ma przynajmniej wyrozumienie na to, że ludność polska może sobie wyobrazić germanizacyą przez szkołę, ale nigdy przez Kościół“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Słowackie „*Narodnie Noviny*“ piszą pod nagłówkiem „*Szkandalosne zakazy*“:

„Znowu jeden zakaz wydany przez zwierzchność podrzędną, a tak bezmyślny, jakiego jeszcze nie było. W Rużomberku postanowiono odegrać teatr amatorski. Wszystko urządzono według przepisów, tekst sztuki przedłożono stolnikowi. Wtem niespodzianie przychodzi zakaz z urzędu podżupowego. Widocznie nasze zwierzchności zakazami tylko żyją. My na seryo zwracamy ministrowi uwagę na to postępowanie bezprawne i anarchistyczne, naszych zwierzchników. Czyżbyśmy zaszli już tak daleko, że żadne ustawy nie obowięzują, a każdy podżupan jest oligarchą obsolutnym? Sądzimy przecież, że minister nie jest poinformowany należycie o sztuczkach urzędników administracyjnych, albowiem musiałby im dawać dokładne informacye, względnie wymierzać kary, aby swem nierozumnem postępowaniem nie draźniło obywatelstwa już tak rozgoryczonego.

„Zakaz tłomaczy ów podżupan-basza tem, że w okolicy rozrzucono odezwę p. t. „*Hlas* (głos) *k' slovenskemu ľudu robotnickemu*“

KOSTECKI.

Ale gdzież dowody?

WOLSKI.

Oto są (*podaje mu listy*). To listy Wareckiego pisane w tej sprawie do niebożczyka. Tu zaś... (*rozwija inny papier*).

KOSTECKI.

To jakiś urzędowy dokument w rosyjskim języku.

WOLSKI.

Pismo to stwierdza, że Ruszczewski po bracie nie odziedziczył ani szeląga. Litewski Nabab umarł bez gotówki, a wioszczynę zapisał córce przybranej. Tu wreszcie (*rozwija inny papier*) oświadczenie Ruszczewskiego, wyjaśniające całą sprawę, pełne żalu i potępienia dla symulantów. W dopisku jest prośba o przedrukowanie tych dokumentów w Trybunie.

KOSTECKI.

Wyśmienicie! Nasza wygrana! (*oddaje listy Wolskiemu*).

WISŁOWSKI.

Zapóźno.

KOSTECKI.

Bynajmniej. W środę wybory, a dzisiaj piątek dopiero. Trybuna już pod prasą, ale jeszcze w świat nie wysłana. Zygmuncie! trzeba natychmiast w nadzwyczajnym dodatku ogłosić testament Ruszczewskiego, wszystkie dowody i nasze komentarze. Całej prowincyi roześlemy ten cenny dokument, w tysiącach egzemplarzy rozrzucimy go po okręgu naszym. Jutro całe Księstwo wiedzieć już będzie, co to za ptaszek ten hrabia Warecki, i nikt nie odwarzy się wrzucić do urny kartki z nazwiskiem handlarza. Komitet przeciwny nie znajdzie czasu, by innego kandydata poszukać, i chcąc nie chcąc wszyscy za Wisłowskim pójdą. Rozkazuj Zygmuncie! Sądzę, że dzisiaj wahać się nie będziesz.

WOLSKI.

Oczywiście! Te papiery to cios śmiertelny dla wroga.

KOSTECKI.

Ale ani chwili nie ma do stracenia. Siadaj Zygmuncie i pisz artykuł, — piękną przygrywkę do tego „Requiem“, które trzymasz w ręku. Zatrzymam drukarzy przy maszynach. Ty jak wiatr piszesz. Za pół godziny przyjdę po artykuł. (*Zwraca się ku drzwiom.*)

WISŁOWSKI.

Czekaj pan. Wieczorem wyjeżdżam do filii fabryki mojej i wrócę dopiero w środę, aby z rąk twoich, panie Zygmuncie, odebrać palmę zwycięztwa. Do widzenia w dzień tryumfu. (*podaje mu rękę.*)

KOSTECKI.

A pamiętaj, by każde słowo było piorunem. Uwij bicz z sarkazmu, pożycz żądła od osy, jadu od żmiji, potęgi od gromów i wichrów. Straszną być musi pieśń pogrzebowa nad mogiłą Wareckich.

WISŁOWSKI.

A schowaj pan dobrze te dokumenty do żelaznej szafy. To jedyne dowody nasze. Gdyby zginęły, nikt nam nie uwierzy. Pamiętaj! Do widzenia. (*Wychodzi z Kosteckim.*)

Scena VII.

Wolski (*sam*).

WOLSKI.

Nasze zwycięztwo. Nareszcie!... (*siada przy biurku i rozkłada papiery*). A ona? (*zamyśla się*) Co ona powie? Każdy grom tam wymierzony w jej serce uderzy... A! te łzy, ta boleść niema... (*chwila zadumy*). Zdradzić? Głupstwo, szalone głupstwo (*śmieje się przymusowo, chwyta za pióro i pisze. W drzwiach pokoju staje Marta. Wolski przerywa pisanie, i nie widząc żony odczytuje głośno ustęp skreślony:*) „Dokumenty zdrady“ (*przerywa czytanie*). Za blady tytuł! (*Przekreśla i pisze. Po chwili znów czyta:*) „Hańba Wareckich. W przededniu wyborów prezentujemy wyborcom dokument hańby tych patentowanych ojców narodu...“ (*Marta biegnie ku Wolskiemu i wydziera mu arkusz z ręki.*)

Scena VIII.

Wolski i Marta.

MARTA.

Co to jest?

WOLSKI.

A to ty... to nie należy do ciebie.

Niechże tu człowiek rozumny szuka jakiejkolwiek styczności pomiędzy spiskiem a teatrem amatorskim!

„Nasi przebiegli policyanci odbyli rewizyą drukarni p. Salvy w Rużomberku, posądzając go o wydrukowanie odezwy, choć pod odezwą była firma madziarskiej drukarni w Peszcie.

„Za tak głupiego nie można uważać pana podżupana rużomberskiego, ażeby upatrywał w agitacyi socyalistów madziarskich związek z naszym teatrem amatorskim. Skandaliczny zakaz można jedynie wytłomaczyć umyślnem nadużyciem władzy.

„W sprawie tej apelowano do wyższej instancyi i dla tego nie wypowiadamy całkowicie naszego zdania. Ale tu chodzi o powszechne dobro, o istotę prawno-politycznego ustroju naszego państwa.

„Zwracamy się do ministra z prośbą, aby uczynił coś takiego, coby w przyszłości wykluczało możliwość podobnych nadużyć a uniemożliwiało naruszanie wolności obywatelskiej.

„Na cóż nam wszystkie prawa, kiedy depce je nogami każdy urzędnik! Toż mogą takie zakazy uzasadniać w sposób jeszcze śmieszniejszy n. p. 5-go maja będzie miesiąc świecił, więc przedstawienie zabronione.

„Żądamy porządku, rozumu i sprawiedliwości w sprawach publicznych!“

* * *

„Srpski Glas“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi pisze pod nagłówkiem *„Pazimo i radimo!“* (Rozważajmy i działajmy):

„Skonstatowaliśmy i widzimy to wszyscy, że w tej połowie monarchii, w której żyjemy, dzieją się rzeczy bardzo ważne, że następują zmiany, mające znaczenie niepoślednie.

My, Słowianie południowi winniśmy z nowym stanem rzeczy liczyć się skrupulatnie, kwestya zgody i połączenia Słowińców, Chorwatów i Serbów pod jeden sztandar stają się kwestyą aktualną bardziej niż dotąd.

„Chorwaci muszą zrzec się pretensyi do krajów i ludności serbskiej. Domagają się oni przyznania im praw narodowościowych, nazywania się Chorwatów Chorwatami, — aleć my tego samego od nich żądamy, aby nam pozwalali nazywać się Serbami i dali pokój agitacyi śród prastarych ziem serbskich, w Bośni i Hercegowinie.

„Ze Słowińcami w zatarg nie wchodzimy. Niechaj będą, jak są dotąd Słowińcami, ale nie możemy zgodzić się na to, gdy ich Chorwaci nazywają Chorwatami połanińskimi (planinskijema Hrvatima),

„Wiemy o tem dobrze, że porozumienie pomiędzy Madziarami i Serbami z łatwością mogłoby przyjść do skutku. Wówczas to Chorwaci znaleźliby się w położeniu bez wyjścia. Jako Słowianom szczerym zależy nam atoli w pierwszym rzędzie na porozumieniu z nimi. Tego porozumienia dziś nie ma, natomiast jest walka, wyczerpująca siły obydwóch narodów.

„Chorwaci i Serbowie mają przedstawicieli w sejmie zagrzebskim i budapeszteńskim, ale czyż ludzi tych można nazywać przedstawicielami naszymi. Są oni takimi Serbami i Chorwatami, jakich Madziarzy tylko sobie mogą życzyć.

„Nie łudzimy się, ażeby walka pomiędzy nami ustała. Niechaj ta walka trwa i dalej, bylebyśmy znaleźli program wspólny i pod wspólnym stanęli sztandarem do boju przeciw Madziarom i Niemcom. Taki program wspólny mógłby powstać z łatwością przy obopólnej chęci i dobrej wierze...“

* * *

Kołomyjska *„Ruskaja Rada“* pisze pod nagłowkiem: *„Pokrywżdenije* (pokrzywdzenie) *praw russkoeho naroda“*:

„My Rusini, choć tak spokojny i potulny naród, co wszystkie obowiązki wypełnia, sumiennie i bez przymusu, jesteśmy krzywdzeni przez niektóre organa rządowe i nie używamy w pełni tych praw, które posiadają inne narodowości.

„I pomimo to, że jeszcze nie zniesiono ustaw zasadniczych konstytucyi, które przyznają pełne równouprawnienie rusińskiemu narodowi, pomimo to, że każdy austryacki urzędnik jakiejkolwiek byłby branży, przysięgę składa na konstytucyą i wypełnienie ustaw, to przecież w praktyce ich się nie wypełnia.

„W Kołomyi wybudowano naprzeciw starostwa nowy gmach pocztowy, umieszczono na nim napisy w polskim i niemieckim języku a ruski opuszczono, choć do tego gmachu przeważnie chodzić będą Rusini. Gmach urzędu starostwa ma napisy polskie i ruskie, powinien był więc urzędowi pocztowemu posłużyć za przykład.

„Nie żądamy niczego, co jest niemożliwem, ani ustawami niedozwolonem, ale upominamy się o to tylko, co powinno być wykonanem i co należy się według prawa ruskiej narodowości...“

D. K.

BADANIA NAUKOWE.

Leczenie raka.

Ostatnie dzienniki podają sensacyjną wiadomość o raporcie, złożonym Akademii medycznej, z którego dowiadujemy się, iż na podstawie metody Pasteura, doktorzy Réclus i Terrier wyleczyli kilku chorych na raka. Tak więc dzięki tej metodzie, powstrzymane zostało szerzenie się krupu, róży, gorączki połogowej, obecnie zaś możemy mieć nadzieję, iż nieuleczalna dotychczas choroba raka zostanie usuniętą, a przynajmniej mniej groźną będzie. W notatce z ostatniego posiedzenia Akademii nauk czytamy: W d. 9 lutego 1895 r. dr. Réclus wyciął raka na nodze chorego. Wyciętą nabrzmiałość rozmiażdżył, dodając nieco wody, przefiltrował i zastrzyknął trzem zwierzętom (osłu i dwom psom). Zastrzyknięcie nie wywołało żadnego skutku na zoperowanych w ten sposób zwierzętach, z których puszczono krew dnia piątego, siódmego i piętnastego, dla otrzymania surowicy, jaką znów zastrzyknięto dwom chorym na raka. Dr. Terrier oświadcza, iż jedna z tych chorych była operowaną na raka w październiku 1894 roku. Lecz w lutym 1895 r. utworzył się jej nowy gruczoł w temże samem miejscu, co poprzednio. Początkowo nie był większy od orzecha laskowego. W marcu doszedł do wielkości pomarańczy. Zaczął ją wtedy leczyć za pomocą zastrzykiwania, od 12 marca, powtarzając dozy codziennie; 25 marca nabrzmienie zaczęło się zmniejszać i stopniowo rozeszło się prawie zupełnie, stan zdrowia chorej polepszył się, waga ciała zwiększyła.

Kuracyą drugiego chorego zajmował się dr. Réclus w szpitalu paryzkim Pitié. Cierpiał na raka w żołądku. Operacya chirurgiczna uznaną została za niemożebną. Dr. Réclus zastrzyknął mu surowicę d. 6 kwietnia, powtarzając następnie coraz wyższe dozy każdodziennie. Nabrzmienie poczęło się zmniejszać stopniowo i chory nabiera ciała przy coraz lepszym stanie zdrowia. Tak więc fakt odkrycia surowicy, leczącej chorobę raka, staje się przypuszczalną rzeczywistością. Pierwszą myśl zastosowania surowicy w cierpieniu raka, powziął prof. Karol Richet. Jeden z redaktorów dziennika „Eclair“, chciał uzyskać od niego objaśnienia w tym względzie, lecz w laboratoryum przyjął go tylko zastępca profesora, mówiąc: „Pan

---

MARTA (*czyta*).

„Hańba Wareckich“ (*przerywa czytanie*) Boże! co to wszystko znaczy?

WOLSKI (*po krótkiej chwili wahania*).

Tak czy tak... prędzej czy później się dowiesz... Ruszczewski umarł.

MARTA (*głucho*).

Umarł?

WOLSKI.

I mnie zrobił egzekutorem testamentu.

MARTA.

Nie rozumiem.

WOLSKI.

Sprawa Karłowic to symulacya. Winowajcą jest pan Karol, Ruszczewski maską i kozłem ofiarnym.

MARTA.

To niepodobno.

WOLSKI (*wskazuje na papiery*).

Mamy dowody... listy twego brata.

MARTA.

Co? Co ty mówisz?

WOLSKI.

Mianowany egzekutorem testamentu, muszę ogłosić dokumenty zdrady.

MARTA.

Ty tego nie uczynisz; ty tego nie możesz uczynić.

WOLSKI.

To moja powinność. Muszę!

MARTA.

Zygmuncie! to brat mój i ojciec.

WOLSKI.

Idź do twego pokoju. Artykuł za chwilę gotów być musi.

MARTA.

Nie! Czemu się pastwisz nademną? Boże! (*zanosi się kurczowym płaczem i pada na fotel.*)

WOLSKI.

Łzy twoje palą, ale inaczej być nie może. Niema innego wyjścia, — chyba nikczemność.

MARTA (*chwyta go za ręce i osuwa się przed nim na kolana*).

Zygmuncie! to krew moja.

WOLSKI (*cofa się gwałtownie*).

Idź! idź już. (*ostro*) Nie błagaj za nimi. Sztandar mój święty. Bronić go będę nawet przeciw tobie i nie opuszczę nigdy.

MARTA (*zrywa się i mówi podniesionym głosem*).

Nigdy? A ja? Czyż dla ciebie nie opuściłam domu, ojca i brata? Czyż przeciw światu całemu nie stanęłam z tobą? Słuchaj! Ja mam prawo żądać od ciebie poświęcenia, bo dla ciebie poświęciłam wszystko.

WOLSKI.

Żądasz za wiele, żądasz hańby mojej. Na barkach swoich dźwigam losy ludu. Jeżeli padnę, to lud ze mną padnie. Testament Ruszczewskiego to zwycięztwo całego stronnictwa. Spal go, a spłonie gmach cały, którego stróżem i kapłanem jestem.

MARTA.

O nic nie proszę, tylko o jedno: Milcz!

WOLSKI.

Napróżno wszystko! Nie mogę.

MARTA.

A przysięgi twoje?! Dla świstka papieru, dla urojonego honoru ty nóż mi wpychasz pod serce. Cóż mnie wasza polityka obchodzi? Wiem tylko, że mam ojca i brata, wiem, że mam męża, który mnie kochać powinien, wiem, że mnie dręczysz bez litości i pieścisz się prawie boleścią moją. Zabrałeś mi rodzinę, a dziś ją na pastwę motłochu oddajesz.

WOLSKI.

Dość już, dość (*przebiega gwałtownie scenę*). Nie mogę, nie mogę... (*bierze ją za rękę*). Idź! idź do twego pokoju.

MARTA.

Nie pójdę! Ty stoisz na straży stronnictwa, ja na straży krwi mojej. Nie pójdę! (*wydziera mu rękę, biegnie ku biurku i zabrawszy papiery zwraca się w stronę kominka, na którym ogień płonie*). Tam! (*Wolski rzuca się ku niej i wydziera jej z rąk papiery.*)

WOLSKI.

Szalona! co czynisz?

MARTA (*wskazując na płomień*).

Tam... tam... ogień nas pogodzi. Z tych dokumentów hańby popiół tylko zostanie. Wiatr go rozwieje i nikt się nie dowie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Richet ma zamiar unikania interviewów i pragnie swe spostrzeżenia komunikować wprost Akademii nauk. Surowicy przeciw rakowi nie mamy jeszcze dla chorych po za naszą kliniką i próbujemy jej zaledwie na niektórych, uważanych za nieuleczalnych. Dopiero, gdy zupełnie pewnymi będziemy obserwowanych kuracyi — surowicę przez nas stosowaną oddamy na użytek ogółu".

LITERATURA I SZTUKA.

Stosunki literackie Rusi halickiej.

(*Dokończenie.*)

Poemat ten nietylko należy do najudatniejszych kreacyi Franki, ale jest jednym z najwybitniejszych utworów poezyi małoruskiej i godnie może zająć miejsce tuż obok najlepszych poematów Tarasa Szewczenki. Wszystkie typy bohaterów „Pańskich żartów" są wprost z życia wzięte i tylko staruszek-ksiądz jest poniekąd wyidealizowany.

Z innych utworów poetyckich Franki zasługują na uwagę: „Śmierć Kaina" (1889), stanowiąca poniekąd ciąg dalszy misteryi Byrona „Kain"; dalej „Król i Asceta", wolna przeróbka jednego epizodu „Markandei-Purany" i „Wędrówka Rusina z biedą", poemat satyryczny w guście podobnych utworów Heinego. Aczkolwiek wszystkie te utwory odznaczają się wielkiemi zaletami, jednakże głośną sławę zdobył Franko w Galicyi i na Ukrainie głównie jako autor licznych opowiadań; w tym zakresie nie ma prawie Franko rywalów pomiędzy współczesnymi pisarzami małoruskimi.

Pomiędzy opowiadaniami Franki na szczególną uwagę zasługują te, które malują nam życie robotników w borysławskich kopalniach. Już w r. 1877 zamieścił on w „Druhu" kilka obrazków tego rodzaju pod jednym ogólnym nagłówkiem „Borysław", w których jaskrawemi formami odmalował byt tych robotników z całą jego nędzą.

Widzimy tam, jak włościanie-rólnicy porzucają ziemię w nadziei wyższego zarobku dążą do kopalni, gdzie tracą zdrowie, demoralizują się i nareszcie giną w nierównej walce z nędzą, wyzyskiwani przez lichwiarzy. Życie tych samych robotników zostało przedstawione na szerszą skalę w dwóch najlepszych powieściach Franki: „Boa Constrictor" i „Borysław się śmieje". W pierwszej, zamieszczonej początkowo w „Hromadskim Druhu", „Dzwonie" i „Młocie" (1879), a następnie wydanej oddzielnie (1884) w nieco zmienionej postaci został przedstawiony ciekawy typ bogacza, właściciela źródeł nafty, który, dzięki swej energii, sprytowi i umiejętności wyzyskiwania bezradnych robotników, z żebraka staje się pierwszym kapitalistą borysławskim. Powieść ta jest przepełniona obrazkami, dosadnie malującymi stosunek właścicieli źródeł nafty i ich sług do robotników. Powieść „Borysław się śmieje" może być uważana za ciąg dalszy powieści poprzedniej, ponieważ występują w niej ciż sami bohaterowie co i w „Boa Constrictorze". Ale tu robotnicy nie są już ciemną, ponurą, bezradną masą, eksploatowaną przez każdego. Tu doprowadzeni do rozpaczy nędzą i wyzyskiem usiłują organizować się i łączyć, ażeby bronić swych praw. Powieść ta pod wieloma względami przypomina „Germinal" Zoli, aczkolwiek była wydana daleko wcześniej od słynnego utworu naturalisty franzuzkiego. Pod względem artystycznym powieść „Borysław się śmieje" znacznie ustępuje „Boa Constructorowi", gdyż postać głównego bohatera jest dość nienaturalna, a oprócz tego spotykamy w niej dużo rzeczy, psychologicznie wcale nie umotywowanych. Do utworów z życia robotników borysławskich należy opowiadanie „Jaś Zełepuha" („Zorja" 1887) — dzieje walki chłopa z żydem wyzyskiwaczem, walki, w której chłop traci nietylko całe swe mienie, ale i życie. Opowiadanie to sprawia bardzo silne wrażenie.

Jedyna powieść historyczna Franki „Zachar Berkut", napisana po części na podstawie danych kronikarskich, po części zaś podług podań ludowych, należy do najsłabszych jego utworów, aczkolwiek i w niej dadzą się spostrzedz rysy, zdradzające pędzel prawdziwego artysty, jak np. w opisie polowania na początku powieści i wogóle w opisach przyrody.

Za najlepsze utwory Franki należy uważać jego drobne opowiadania, wydane w zbiorku „W pocie czoła — Obrazki z życia ludu roboczego". Dzięki tym obrazkom, Franko mógłby zająć miejsce zaszczytne w każdej literaturze. Typy poniżonych, słabych, opuszczonych, nieszczęśliwych, shańbionych przedstawicieli najniższych warstw społecznych, odmalowane są tu z taką plastycznością, z takim realizmem, że czytelnik mimowoli musi zastanowić się nad losem tych chłopów, cyganów, aresztantów, robotników, żydów i kobiet upadłych, nad przyczyną ich cierpień i hańby, tkwiącą w wadliwości całego współczesnego ustroju społecznego. Franko wcale nie idealizuje swych bohaterów; odwrotnie, charakteryzuje ich nam ze wszystkiemi ich wadami i pomimo tego, umie wzbudzić w czytelnikach sympatye ku nim.

Zbiorek „W pocie czoła" zawiera ośmnaście małych obrazków i dwa większe opowiadania: „Na dnie" i „Manipulantka". Każdy z tych utworów dotyka jakiejś rany bolącej społeczeństwa współczesnego. Franko poświęca uwagę i kwestyom pedagogii, i stosunkom chlebodawców do najemników, i pracy kobiet i kwestyi agrarnej i przemysłu domowego. Widzimy u niego i dziecko, w którem bezduszna pedagogia usiłuje zagasić wszelką wiarę myśli samodzielnej, i chłopa, który ginie w walce z lichwiarzem, i ponure postacie aresztantów, i dziewczynę, która upada, nie znajdując uczciwych środków do życia... Ze wszystkich tych opowiadań najsilniejsze wrażenie sprawia studyum psychologiczne „Na dnie". W studyum tem, osnutem na tle życia więziennego, w jaskrawych barwach została przedstawiona nędza moralna wyrzutków społeczeństwa, nędza, wywołana z jednej strony przez straszną biedę materyalną i okropną ciemnotę, z drugiej zaś przez niemożliwe stosunki więzień galicyjskich.

W ostatnich czasach począł próbować Franko swych sił i na polu literatury dramatycznej, a jego dramat „Skradzione szczęście" cieszy się bardzo wielkiem powodzeniem na scenie ruskiej w Galicyi.

Artystycznej doskonałości większej części utworów Franki stoi na zawadzie brak wykończenia szczegółów, co tłomaczy się wielką różnostronnością jego twórczości i niezwłoczną płodnością. Jednakże pomimo to Franko ma bardzo doniosłe znaczenie dla literatury ruskiej głównie ze względu na to, że on pierwszy sprowadził literaturę tę w Galicyi na grunt realizmu, on pierwszy poruszył kwestye, interesujące całe społeczeństwo ruskie i wypowiada w swych utworach cały szereg typów ze wszystkich warstw tego społeczeństwa.

Pomiędzy pisarzami najbardziej pokrewnymi France ze względu na ich idee przewodnie, na szczególną uwagę zasługuje p. Natalja Kobryńska, z nazwiskiem której ściśle związana jest cała historya ruchu postępowego wśród Rusinów galicyjskich. Jak większość córek księży unickich, uczyła się Kobryńska w domu przy pomocy nauczycielek, pod kierunkiem ojca, znanego posła. Ale nauka jej była bardzo krótkotrwałą, ponieważ wydano ją za mąż, kiedy była jeszcze prawie dzieckiem. Po śmierci męża, który żył bardzo krótko, Kobryńska wzięła się do pracy nad swem wykształceniem i poczęła systematycznie studyować przyrodę i historyę.

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M. W.**

(Ciąg dalszy.)

I jakby dla tego jedynie by nie odmówić parobkowi, który podsuwał mu garść słomy pod chrapy, gniady porywczo chwycił pęczek słomy z sanek, ale puścił ją natychmiast, jakby dla pokazania, że teraz nie czas myśleć o słomie, a wiatr rozsiał ją w mgnieniu oka i śniegiem zasypał.

— Teraz znak zrobić należy — ciągnął dalej Nikita i zwracając sanie przodem do wiatru, związał silnie hołoble, podniósł je w górę i przycisnął do przodu sani. — Gdyby nawet śnieg nas zasypał dobrzy ludzie zobaczą hołoble i odkopią. Takiej ostrożności starzy ludzie uczą.

Brechunow tymczasem, zasłaniając się połami rozwiązanego futra, pocierał zapałki jedną po drugiej o stalowe pudełko, ale ręce mu drżały i zapałki albo zgoła się nie zapalały, albo gasły natychmiast na wietrze. Nakoniec jedna z nich zapłonęła i oświeciła na mgnienie oka włos jego futra, rękę ze złotym pierścieniem na zgiętym palcu wskazującym, wysuwającą się z pod derki, a śniegiem zasypaną słomę i zapaliła papieros. Brechunow zaciągnął się parę razy dymem, wypuszczając go przez wąsy, chciał jeszcze raz pociągnąć, ale wiatr go uprzedził, porwał tytoń z ogniem i uniósł tam, gdzie wpierw słomę.

Ale i tych kilka łyków połkniętego dymu wprawiły go w lepszy humor.

— A no, mamy nocować, to i nocujmy — oświadczył energicznie, a widząc podniesione hołoble, postanowił uczynić sygnał bardziej jeszcze bijącym w oczy, a zarazem Nikicie pokazać, jak się to robi. — Zobaczysz, zaraz flagę dodam — mówił, podnosząc chustkę, którą podwiązywał kołnierz i którą cisnął był na sanie. I zaraz zdjął rękawiczki, wspiął się na palce i mocnym węzłem przymocował chustkę do rzemieni, łączących końce hołobli.

Chustka natychmiast wściekle szarpać się zaczęła, już to przylegając do hołobli, już oddymając się, wydłużając i klaszcząc na wietrze.

— Alboż nie zręcznie? — pochwalił się, przypatrując z zadowoleniem swemu dziełu, poczem wrócił do sani. — Razem cieplejby nam było niezawodnie, ale dla dwóch zabraknie tu miejsca — dodał.

— Ja sobie miejsce znajdę — odparł Nikita — wpierw jednak konia muszę okryć, bo spotniał, serdeczny. Puśćcie, gospodarzu, poprosił zbliżając się do sani i wyciągając z pod Brechunowa derkę, którą złożył we dwoje i zdjąwszy uprząż, zarzucił na gniadosza.

— Tak cieplej ci będzie choć trochę, przyjacielu — mówił nakładając znowu na derkę ciężką uprząż.

— Płachta ze słomy również wam niepotrzebna, a zarazem i słomy odrobinę mi dajcie — mówił dalej, podchodząc do sanek.

I wyciągnąwszy jedno i drugie z pod Brechunowa, wykopał sobie jamę w śniegu za saniami, wysłał ją słomą i nacisnąwszy czapkę na uszy, usiadł na słomie, owinięty w kaftan przykryty szmatą i przytulił się do łubianych sani, które go zasłoniły na razie od śniegu i wiatru.

Brechunow lekceważąco kiwał głową, patrząc na to, co robił Nikita, czuł bowiem zawsze głęboką pogardę dla chłopskiej ciemnoty, a potem sam zaczął się przysposabiać na noc.

Wyrównał pozostałą w saniach słomę, podkładając najgrubszą jej warstwę sobie pod bok i zasunąwszy ręce w rękawy, umieścił głowę w przednim kącie sani w ten sposób, aby jak najmniej być wystawionym na śnieg i wiatr. Spać nie chciało mu się wcale, leżał więc i rozmyślał, o tem, co było jedynym celem, treścią, szczęściem i chlubą jego życia: o tem ile to on już zgromadził pieniędzy, oraz ile jeszcze w przyszłości zgromadzić potrafi: ile inni, znani

Zapoznała się z Darwinem, Huxleyem, Büchnerem, Lubockem, Draperem, Renanem] i t d. Dziełko St. Milla „Poddaństwo kobiet“ sprawia na niej bardzo silne wrażenie i pobudza ją do studyowania kwestyi kobiecej. Przyjechawszy do Wiednia, gdzie przebywał jej ojciec podczas sesyi parlamentarnej, a dwóch braci studyowało medycynę, Kobryńska poczęła bywać w różnych kółkach studenckich i brać udział w gorących politycznych i literackich sporach młodzieży.

Po powrocie do Galicyi, Kobryńska założyła w r. 1874 w Stanisławowie „Towarzystwo kobiet ruskich“, którego zadaniem było przyczyniać się do podniesienia poziomu umysłowego kobiet za pomocą rozpowszechniania wśród nich książek. Jednakże Kobryńska znalazła bardzo mało jej współczujących; większość członków odrazu zaoponowało przeciwko takiemu charakterowi towarzystwa i postanowiło zajmować się wyłącznie filantropią. Kiedy Kobryńska próbowała protestować przeciwko temu, dowodząc, że kobiety ruskie przedewszystkiem powinny starać się zdobyć sobie jakie takie wykształcenie, członkowie towarzystwa kupili za pieniądze przeznaczone na książki złoty kielich dla biskupa Stanisławowskiego Pełesza.

W r. 1887 Kobryńska do współki ze znaną pisarką ukraińską Oleną Pczilką wydaje „Pierwszy Wianek“ — zbiór utworów poetyckich i artykułów naukowych, napisanych wyłącznie przez kobiety: galicyanki i ukrainki. Najlepsze artykuły w tym zbiorze wyszły z pod pióra Kobryńskiej. Poznajamia ona czytelników ze współczesnym ruchem kobiecym w Europie Zachodniej i w Ameryce, z rolą kobiet w społeczeństwie, z położeniem Rusinów wszystkich warstw społecznych i t. d. Oprócz tego w „Pierwszym Wianku“ zostały zamieszczone dwa jej opowiadania „Pani Szumińska“ i „Pan sędzia“.

Działalność Kobryńskiej nie ograniczyła się na wydaniu zbioru i drukowaniu opowiadań z „Zorji“, gdzie poczęła pracować już w r. 1874. W r. 1890 wskutek jej energicznej agitacyi Rusinki wysyłają do parlamentu petycyą o dopuszczenie kobiet do słuchania wykładów uniwersyteckich. W roku następnym Kobryńska zorganizowała w Stryju pierwszy wiec kobiecy, a w r. 1892 na wiecu kobiet polskich wygłosiła referat, który zwrócił na siebie powszechną uwagę. Dowodziła ona w nim potrzeby założenia w Galicyi gimnazyum dla kobiet. W r. 1894 pod jej redakcyą ukazuje się drugi zeszyt zbioru prac kobiecych.

Jako utalentowana beletrystka Kobryńska zajmuje jedno z pierwszych miejsc w literaturze galicyjsko-małoruskiej. Utwory jej poczęły się ukazywać od r. 1884, kiedy „Zorja“ wydrukowała jej opowiadanie „Dla kawałka chleba“, w którym przedstawiony został smutny los dziewczyny, nie mogącej wyjść za ukochanego człowieka, a zmuszonej oddać rękę człowiekowi, którego wcale nie kocha, jedynie z tego powodu, że nie umie zapewnić sobie sama kawałka chleba. Do najlepszych utworów Kobryńskiej należą: „Pani Szumińska“ i „Wyborca“. W pierwszym odmalowała ona kobietę, która spędziła całe życie w czterech ścianach swego domu i której wszystkie plany obracają się w niwecz pod wpływem ducha czasu. W drugim ukazała, jak wpływają na ciemnego chłopa galicyjskiego urządzenia konstytucyjne.

Wszystkie utwory Kobryńskiej są napisane z wielkim talentem; świadczą one o dokładnej znajomości z tą sferą, którą maluje i zdradzają wielkie zdolności obserwacyjne.

Leon Wasilewski.

Poetka pracy.

Trzy lata temu ukazał się we Włoszech pod tytułem „Fatalita“ tomik poezyi, które obudziły ogólne zajęcie z powodu swej odrębności i głębokich myśli. Zajęcie to spotęgowało się jeszcze, gdy się dowiedziano, że autorką tych poważnych, głęboko odczutych pieśni jest biedna, słabowita, dwudziestodwuletnia wiejska nauczycielka, udzielająca mniej więcej ośmdziesięciu hałaśliwym dzieciom początków pisania i czytania. Miejscem jej zamieszkania była *Motta Visconti*, cichy, odległy zakątek nad rzeczką *Tessin*. Zdanie, iż praca jest mistrzynią prawdziwie wielkich i szlachetnych ludzi znajduje w tym wypadku świetne zastosowanie.

Ada Negri urodziła się dnia 3 lutego 1870 roku. Matka jej była biedna wyrobnica, pracująca za nędznem wynagrodzeniem w przędzalni wełny, to też wykształcenie, jakie dała swej córce, było okupione największem poświęceniem i ofiarami. Kto czyta ogniste wiersze lombardzkiej poetki, sądzi zapewne, iż zna ona i widziała to wszystko, o czem pisze z taką przekonywającą prawdą. Omyli się. Nie widziała nigdy ani morza, ani gór niebotycznych, nie znała ani teatru, ani większości nowych dzieł i powieści; jedynie samotność i nieszczęście były jej dobrze znane. Mieszkanie jej w Motta Visconti było bardzo ubogie; okna bez szyb, zalepione papierem, skąpo oświetlały nędzną izdebkę, w której najpiękniejszym sprzętem była skrzynka z książkami, zastępująca kanapę. Biednej wiejskiej nauczycielce nawet piękności ojczystego kraju były nieznane, gdyż jedyną jej rozrywką była coroczna wędrówka do Lodi, gdzie u matki przepędzała letnie wakacye. Troska stała u jej kolebki i była jej w życiu wierną towarzyszką, lecz nie potrafiła zgnębić jej geniuszu i przytępić jasnego umysłu.

Ponieważ ojciec poetki młodo umarł, więc matka i córka rychło musiały stanąć do walki o byt. To też pierwsze smutne wrażenia lat dziecięcych zbyt poważnie nastroiły młodą duszę i obudziły w sercu zrozumienie i współczucie dla cierpiącej i walczącej ludzkości, dla wszystkich, co żyjąc w niedostatku, nie tracą nadziei.

Adę Negri zaliczyć należy do rzędu wysoko uzdolnionych kobiet, które usiłują rozwiązać problemata istnienia i kwestye socyalne, zajmujące nas wszystkich. Gdy nieszczęście przestępuje próg jej nędznej izdebki, przyjmuje je bez trwogi z podniesionem czołem. „Witaj, ponure bóstwo“, woła, „jesteś wobec mnie bezsilnem!“

Cudze cierpienie porusza ją do łez i skarg porywających, które znajdują oddźwięk w każdem gorąco czującem sercu. Steryotypowych żalów erotycznych nie znajdziesz w jej pieśniach, nie ma tam wzmianki o tęskniącej i umierającej miłości. W kilku swych poezyach, pięknych prostotą, wyraża przywiązanie i wdzięczność dla matki, której stara się wynagrodzić przykry, znoszony dla niej niedostatek. We wszystkich jej pieśniach przebija silna dusza, gorąca ufność i nadzieja, głębokie współczucie dla pracujących w niedostatku i gorzka nienawiść do próżnujących bogaczy.

Ada Negri to natchniona poetka pracy, uwielbia i sławi odwagę, co niczem nie pozwoli się zgnębić, lecz śmiało i z poczuciem siły staje do walki z losem. Wiersz „Czyś ty pracował“ maluje najlepiej jej sposób myślenia. Młodzieńca, co nieśmiało wynurza jej swą miłość, pyta: „Czyś ty pracował?“ Czy wiesz, co to cierpienie? Czy znasz trwogę, walki i burze w życiu człowieka pracy i czynu? Czy wiesz, co to noce bezsenne, w których się bez chwili wytchnienia pracuje i tworzy dzieła? Czyś ty pracował? I odtrąca od siebie słabego, bez woli, prawdziwe dziecię wieku, każe wrócić czcicielowi złotego cielca do próżniaczego życia, do kart, balów i hulanek. Myśl przewodnia — apoteoza pracy — powtarza się w wielu jej poezyach z coraz innemi waryantami.

Genialna poetka przebiła się przez głód, nędzę i troski i potrafiła wywalczyć sobie byt dostatni. Niedawno została powołaną na nauczycielkę literatury przy wyższem seminaryum w Medyolanie, gdzie żyje z matką w gronie przyjaciół, pokrewnych jej duchem i umysłem. W dowód uznania dla jej poetyckiej działalności wyznaczyła jej rada miasta Florencyi honorową pensyą, którą w tej samej kwocie pobierała przed nią zmarła włoska poetka Giannini Milli. Obecnie wydaje Ada Negri drugie

---

mu ludzie, zgromadzili i mają pieniędzy, w jaki sposób zdołali tyle uzbierać i dziś jeszcze zbierać pieniędzy i jak on sam, podobnie jak inni, może jeszcze uzbierać mnóstwo pieniędzy.

— Dąb pójdzie na płozy. Zręby sprzedam osobno. Drew też będę miał przynajmniej ze trzydzieści sążni na dziesięcinie*) — oceniał w myśli las, który teraz właśnie jechał kupować. — Dziesięcin tysięcy pomimo to nie dam, a najwyżej ośm i to pod warunkiem, aby polany wyliczyć. Geometrę zjednam sobie jaką setką, a może i 150 rubli mu wetknę, a ten mi z pięć dziesięcin polan namierzy. Za ośm odda z pewnością. Trzy tysiące odliczę mu zaraz, na pierwszy ząb, a zmięknie natychmiast — myślał dalej, dotykając ramieniem kieszeni, w której miał pugilares. — I w jaki sposób zbłądzić mogliśmy na zakręcie, Bóg jeden raczy wiedzieć. Powinienby tu być zaraz las i leśniczówka, powinienbym słyszeć szczekanie psów. Ale te przeklęte psy nie szczekają wówczas, gdy trzeba. — Odwinął kołnierz i zaczął pilnie przysłuchiwać i rozglądać, ale dostrzegł jedynie czerniejącą w ciemności głowę gniadosza i jego grzbiet z podnoszącą się od wiatru derką; o słuch jego odbijało się również tylko wycie wiatru, furczenie i klaskanie chustki między hołoblami, oraz uderzanie śniegu o łuby sani.

*) Dziesięcina równa się dwom morgom naszym. (Przyp. tłum.)

Brechunow otulił się ponownie.

— Gdybym był wiedział — snuł dalej wątek myśli — zostałbym w Gryszkinie na noc. Mniejsza zresztą o zwłokę. Dojedziemy jutro. W taką zawieję i tamci nie pojadą.

W tej chwili przypomniał sobie, że jutro miał otrzymać od rzeźnika pieniądze za skopy.

— Majster rzeźnicki sam przyjechać zamierzał, tymczasem nie zastanie mnie w domu, a żona nawet pieniędzy odebrać nie potrafi. Żadnego zgoła wykształcenia nie posiada, z ludźmi obejść się nie umie — myślał dalej przypominając sobie, że nie umiała właściwie zachować się w obecności stanowego*), który wczorajszy wieczór świąteczny spędził w jego domu.

— Wiadomo kobieta: gdzie i czego nauczyć się mogła? Czemże był dom nasz za życia rodziców? Obejściem zamożnego włościanina, który posiada chałupę i dom zajezdny całego majątku. A ja do czego dojść potrafiłem w ciągu lat piętnastu? Sklep, dwa szynki, młyn, skład zboża, a nawet dwa majątki w dzierżawie i dom ze śpichlerzem pod żelaznym dachem — wyliczał z wzrastającą pychą. — Inaczej to wygląda niż za ojcowskiej gospodarki! I czyjeż to imię rozbrzmiewa teraz najgłośniej w całej okolicy? Imię Brechunowa.

*) Stanowy — urzędnik pełniący takie mniej więcej funkcye, jak u nas starosta. (Przyp. tłum.)

— A dla czego? Dla tego, że o interesy dbać umiem, zabiegów nie szczędzę, że inaczej postępuję niż próżniacy, lub ci, którym tylko głupstwa w głowie. Nocy nawet nie dośpię. Zamieć czy pogoda na dworze, jadę, jeżeli tego potrzeba wymaga. Cóż dziwnego, że handel idzie? Pieniądze na drodze nie rosną, jak grzyby. O nie, dobrze głowy sobie nałamać trzeba, do potu się napracować. Myślą ludzie, że dość mieć szczęście, aby majątek zrobić. Gdzie tam! Mironowie naprzykład na milionach teraz siedzą. A dla czego? Bo pracowali, a Bóg im dopomagał. I ja, byle tylko Bóg zdrowia użyczył...

I myśl, że z biegiem czasu i on stać się może takim milionerem, jak Mironow, który z niczego się dorobił, tak wzburzyła go do głębi, że wieleby dał za to, aby módz z kimś porozmawiać w tej chwili. Ale słuchacza nie było tu żadnego... Gdybyż to choć do Goriaczkina dojechać, rozmawiałby tam z dziedzicem i oczy mu zamydlał.

— Hej, jak dmie! Zasypie tak, że jutro wydobyć się ztąd nie będziemy mogli — myślał wsłuchując się w poświsty wichru, który dął w przód sani, aż wyginając je siłą nacisku i śniegiem smagał łuby.

— Źle zrobiłem, żem Nikity usłuchał — snuł dalej wątek rozmyślań. — Trzeba było jechać, a z pewnością dotarlibyśmy dokądkolwiek, choćby z powrotem do tego samego

swe dzieło, i spodziewać się należy, że będzie miało równie świetne powodzenie, jak pierwszy jej zbiór poezyi, które wcale udatnie przełożyła na język niemiecki Jadwiga Jahn.

E. B.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ze Szląska Polskiego.

Misya w Opolu. — Krzywdząca Szląsk nieznajomość jego rzeczy ze strony pisma polskiego. — Lekcya.

Od 1go do 10go maja zapowiedziana misya w Opolu dla polskiej, a od 10go do 20 b. m. dla niemieckiej ludności, wykazała dokładnie, na kim tu katolicyzm się opiera. Tłumy ludu zalegały ulice i place, a kościół w formalnem trzymały oblężeniu. Pięciu OO. Redemptorystów, pomiędzy nimi 3 rodowitych Szlązaków, z swym przeorem ks. Łubieńskim na czele, obok 3 kapelanów miejscowych i administratora parafii ks. Wrzodka, od rana do nocy siedziało po konfesyonałach, a tłumy całe odchodziły do domu, nie mogąc dla braku miejsca uczynić zadość swym potrzebom duchowym. Powiadają, że i w tych religijnych ćwiczeniach nie zabrakło polityki. Pozostanie bowiem rzeczą niewytłomaczoną, dla czego żaden z okolicznych księży nie przyszedł w pomoc, lub czemu czas trwania misyi dla polskiej i niemieckiej ludności na niekorzyść Polaków do równych części naznaczono mimo liczebnej nierówności.

Jak niegrzecznie wyzyskał ks. administrator swoje prawo czy bezprawie gospodarza domu, niech wystarczy, że przeor misyonarzy, ks. Łubieński, danego pewnemu polskiemu księgarzowi przyrzeczenia, że jemu zleci rozsprzedaż książek misyjnych, własności OO. Misyonarzy, dotrzymać nie mógł, ponieważ ks. administrator uznał za stósowne, obdarzyć tym interesem protegowanego przez siebie Niemca. Nie ulega wątpliwości, że i pod wielu innemi względami ponastawiano przeszkód niemało, aby zapobiedz zbliżeniu się OO. Misyonarzy do ludu polskiego. Lud milczy, nie chcąc się swoim duszpasterzom narazić, lecz czuje głęboko sobie i OO. Misyonarzom wyrządzone krzywdy.

Jedno z poważniejszych ilustrowanych pism warszawskich donosząc o śmierci śp. ks. Damrotha (Czesława Lubińskiego) poucza swych czytelników, że zmarły pisywał wiersze w gwarze szląskiej, Trudno tu przypuszczać złą wolę, a jeszcze trudniej zrozumieć nieznajomość przedmiotu ze strony redakcyi, fałszującą historyę literatury w tak bolesny dla Szląska sposób. Autor krzywdzącej nas notatki, widocznie więcej poinformowany o wojnie chińsko-japońskiej, niż o Szląsku polskim, poezyi Czesława Lubińskiego zaiste nie widział. Bo wszakże żadna z gorzko nienawidzących nas gazet niemieckich tak obelżywie z naszym poetą się nie obeszła; a i warszawski „foksal“ może się wiele od szląskiej „żeleźnicy“ nauczyć.

Na koniec anegdota, — ale prawdziwa. Pewnemu lekarzowi niemcowi, dla którego język polski obcym był zupełnie, przetłomaczyli przyjaciele wyrazy: „Oeffnen Sie den Mund“ na: „otwórz pysk“. Korzystając z lekcyi kazał ów lekarz swym pacyentom sumiennie „pyski otwierać“, co mu niektórzy bardzo za złe wzięli, opuszczając raz na zawsze niedelikatnego Eskulapa. Wychodząca w Gliwicach „Oberschl. Volksstimme“. donosząc o tem, zaznacza z uznania godną otwartością, że nieznajomość polskiego języka w tutejszych obwodach może pozbawić niektóre osoby chleba. A więc: „d i s c e p u e r, f a c i a m t e m o ś c i p a n i e.“

Chim.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Emigracya włościan. — Rozłam wśród socjalistów. — Działalność „Kółek rolniczych“. — Muzeum Matejki. Subwencja dla opery).

Coraz więcej zaczynamy się zajmować ruchem emigracyjnym włościan. Towarzystwo św. Rafała, założone we Lwowie w celu regulowania tego ruchu i udzielania opieki emigrantom, wyekspedjowało w pierwszych dniach kwietnia pierwszą ich serję. Czytaliśmy *ex re* tego bardzo czułe artykuliki dziennikarskie. Podnoszono serdeczne i rozumne słowa, wypowiadane przez członków Towarzystwa św. Rafała, a objaśniające wychodźców o tem, co ich czeka poza morzami, i wzywające je do pielęgnowania uczuć religijnych i narodowych. Druga wyprawa ma wyruszyć ze Lwowa za dni kilka, a jak notują sprawozdawcy dziennikarscy, napływ kandydatów do emigracyi jest ogromny. Wszyscy oni niezadługo zostaną mieszkańcami Brazylii, gdyż Towarzystwo św. Rafała uznało stosunki tego kraju za najlepiej odpowiadające potrzebom i wymaganiom włościan galicyjskich. Innego zdania jest dr. Oleskow, który w jednym z dzienników ruskich uważa klimat i warunki ekonomiczne Brazylii za niesprzyjające naszemu wychodctwu i radzi ruch emigracyjny skierować raczej do Kanady, gdzie rząd wydziela każdemu z osadników bezpłatnie 115 morgów gruntu. Jednocześnie niejaki p. Brojnowski, mieszkający od lat 30-tu w Australji, zgłosił się się z propozycją osiedlania włościan galicyjskich w tej najmłodszej części świata. Zobowiązuje on się pokryć koszta podróży każdego emigranta, każdej rodzinie dać po 6 akrów ziemi i po 5 szylingów tygodniowo. Zapewnia dalej, iż każdy robotnik jeść będzie trzy razy dziennie mięso, a po 5-ciu latach grunt mu przeznaczony przejdzie na jego własność, będzie więc mógł na nim pozostać, lub też go sprzedać i powrócić do kraju.

Przyznam się, że te rozmaite projekty i cała opieka nad emigrantami budzą we mnie niejakie podejrzenie, nie co do zamiarów i dobrych chęci, ale co do wartości środków wybranych. Naprzód nigdy nie przemawiało do mnie twierdzenie, że emigracya może wywrzeć nawet wpływ dodatni na stosunki krajowe. Obrońcy tego zdania przytaczają, iż do okolic, nawiedzonych ruchem emigracyjnym, płyną wciąż pieniądze z Ameryki, przez co wzrasta dobrobyt, że wielu włościanom dobrze dzieje się na emigracyi i że powracają do kraju z funduszem zaoszczędzonym. Faktom tym nie zaprzeczam, ale wolałbym zamiast przykładów i ogólników zobaczyć dokładną statystykę, a mam to przekonanie, iż z cyfr przez nią podanych nie odnieślibyśmy zadowolenia. Każdy wyjeżdzający jak na włościanina jest człowiekiem dosyć zasobnym, bo musi przecież mieć pieniądze na daleką podróż dla siebie, a często dla całej rodziny, i zazwyczaj tak się oblicza, aby je miał i na pierwsze potrzeby zagospodarowania się. Nasuwa się więc naprzód pytanie, czy pieniądze, nadsyłane z Ameryki, mogą zrównoważyć ilość wywiezionych z kraju. Nie można następnie zapomnieć, iż warstwa emigrująca składa się przeważnie z ludzi zdrowych i młodych, a więc z sił przedstawiających dla kraju kapitał bardzo cenny. Tylko statystyka mogłaby nam znowu wyjaśnić, ilu z tych emigrantów dochodzi do dobrobytu na obcej ziemi, a ilu ginie w zapasach o kawałek chleba. Statystyka wreszcie wykazałaby, jaki procent z nich powraca do kraju, a nie potrzeba być zapewne pesymistą, sądząc, iż co najwyżej dziesiąta część oddycha napowrót po latach ojczystem powietrzem. I dla tego dopóki mnie nie przekonają cyfry, będę wierzył, iż emigracya należy do klęsk krajowych.

A tak zapatrując się, nie mogę w konsekwencji wierzyć bardzo i w dobroczynny wpływ ujęcia, uregulowania ruchu emigracyjnego. Przedtem włościanin był wprawdzie wyzyskiwany przez ajentów, ale napotykał tyle przeszkód, że z tru-

---

Gryszkina, gdzie moglibyśmy przenocować u Tarasa. A teraz siedź tu całą noc. Ale o czemże to myślałem przed chwilą? Ha, o tem, że Bóg wynagradza pracę, nie zaś mazgajstwo, próżniactwo lub głupotę. Eh, papierosa sobie przynajmniej zapalę.

I znowu usiadł, wydobył papierośnicę, położył się na brzuchu, osłaniając ogień połą kożucha, ale wiatr wcisnąć się potrafił i gasił jedną zapałkę po drugiej. Po długich dopiero usiłowaniach udało mu się papierosa zapalić i to, że postawił nakoniec na swojem, niezmiernie go ucieszyło. I chociaż papierosa palił raczej wiatr, niż on, udało się i jemu atoli parę razy zaciągnąć, co znowu go rozweseliło. Osunął się po raz drugi w głąb sani, owinął, puścił ponownie wodze wspomnieniom i marzeniom i zdrzemnął się.

W tem coś go jakby trąciło, budząc nagle. Czy to gniadosz słomę wyszarpnął z pod niego, czy w nim samym wewnątrz coś drgnęło, dość, że się przebudził, a serce tak silnie i szybko uderzać mu zaczęło w piersi, aż sądził na razie, że to sanie poruszają się pod nim. Podniósł powieki. Dokoła nic się nie zmieniło, tylko ciemność zdawała się przezroczystszą. — „Świta — pomyślał — do rana zapewne już niedaleko“. — Ale przypomniał sobie natychmiast, że jasność ta płynęła od wschodzącego księżyca. Uniósł się cokolwiek i najpierw konia obejrzał. Gniadosz stał wciąż tyłem zwrócony do wiatru i drżał na całem ciele. Śniegiem okryta derka podwinęła się z jednej strony, uprząż zsunęła się na bok. a biała od śniegu głowa z powiewającą grzywą i zwichrzonym czubem, wyraźniej się teraz rysowała. Brechunow przegiął się z kolei w tył i spojrzał po za sanie. Nikita siedział wciąż w tej samej, co uprzednio pozie, a płachta, którą się okrywał, i nogi jego niknęły pod grubą warstwą śniegu. „Byle tylko nie zamarzł chłop; ubranie ma na sobie liche. Będą mię jeszcze do odpowiedzialności pociągać z jego powodu. Zmęczył się nadto tą bieganiną, a kapitał sił i zdrowia w nim niewielki — zafrasował się Brechunow i miał chętkę ściągnąć z gniadosza derkę i okryć nią Nikitę, ale zimno wydało mu się zbyt przejmujące, aby poruszać się i wstawać, a zresztą obawiał się, że koń zamarznie.

— I po co mi było brać go ze sobą? A wszystkiemu ona winna — mruknął Brechunow, mając na myśli niemiłą sobie żonę i osunął się na dawne miejsce ku przodowi sani. — Zdarzyło się jednak memu stryjkowi przesiedzieć pewnego razu całą noc pod śniegiem i nic mu się nie stało. — Ale Sebastjana — przemknął mu przez myśl inny przykład — odgrzebano wówczas, gdy już nie żył, gdy cały zlodowaciał, jak cielsko ubitego, zamrożonego zwierza.

— Gdybym pozostał w Gryszkinie, miałbym teraz spokój — myślał. — I owinąwszy się starannie, aby ciepło, jakie daje futro, nigdzie nie ginęło nadaremnie, lecz grzało go w szyję, kolana i stopy, Brechunow zamknął oczy, siląc się zasnąć. Ale wszelkie usiłowania nie odniosły pożądanego skutku, przeciwnie czuł się zupełnie rzeźwym i ożywionym. Więc znowu zaczął rachować zyski i kwoty, jakie mu byli winni rozmaici ludzie, znowu chwalił się sam przed sobą i cieszył swojem materyalnem położeniem, ale wątek rozmyślań raz wraz przerywało uczucie trwogi lub niezadowolenia na siebie, że nie został na noc w Gryszkinie. Kilkakrotnie przewracał się z boku na bok, kładł się coraz inaczej, starając się znaleść dogodniejsze i lepiej od wiatru osłonięte miejsce, ale żadne nie wydawało się mu dogodne i znowu zmieniał pozycję, zamykał oczy i przycichał. Ale już to skurczone nogi w wysokich walonach zaczynały sztywnieć, już wiatr z którejkolwiek strony podwiewał, i przeleżawszy chwilę znowu zaczynał myśleć z gniewem na samego siebie, jak spokojnie mógłby teraz zasypiać w ciepłej izbie w Gryszkinie i znowu podnosił się, kręcił, otulał i znowu kładł się w saniach.

Naraz wydało mu się, że słyszy dalekie pianie kogutów. Ucieszył się tem niezmiernie, odwinął kołnierz i zaczął pilnie się wsłuchiwać, ale pomimo całego wytężenia nic nie słyszał prócz wycia wiatru i uderzeń śniegu, bijącego w sanie. Nikita jak siadł z wieczora, tak siedział bez ruchu, nie odpowiadając nawet swemu panu, który dwukrotnie do niego się zwracał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dnością mu przychodziło opuszczać kraj rodzinny. Dziś nietylko tych przeszkód nie ma, ale owszem ma poniekąd zachętę, bo już samo istnienie otwartego, dozwolonego przez władzę biura emigracyjnego nasuwa chęć do emigracyi niejednemu z takich, coby może o niej nie myśleli. Zdaje mi się, że cała opieka powinna się ograniczać na przychodzeniu w pomoc emigrantom przy wyjeździe w portach europejskich i na miejscu ich nowego za oceanem pobytu. Zdaje mi się również, że powinno raczej w kraju powstać Towarzystwo dla utrudniania emigracji, do czego najlepiej służyłaby praca około podniesienia ekonomicznego tych okolic, w których ruch emigracyjny szersze przybrał rozmiary. Czesi przystępują obecnie do stworzenia olbrzymiej instytucji, która za pomocą niewielkich wkładek (zdaje mi się 20 złr.) ma się starać o rozwój narodowego przemysłu fabrycznego. Niech u nas powstaną takie ogniska przemysłu, a okaże się taka potrzeba sił roboczych, że nie będziemy ich mieli na wywóz, że silne i zdrowe ręce nie będą potrzebowały szukać szczęścia za morzami. Nie będziemy wówczas czytali, że całe wsie w roku bieżącym nie mogły zachować tradycyjnych zwyczajów podczas obchodu świąt wielkanocnych, że bochen chleba czarnego zastępował u nich święcone.

Do czego doprowadza konkurencja w pracy, mieliśmy świeżo dowód w smutnych zajściach lwowskich. Rusini wogóle są leniwi i powolni, stąd nie przedstawiają dobrego materjału na robotnika. Z tego powodu przedsiębiorcy większych budowli chętnie sprowadzają Włochów i Mazurów. Ci ostatni okazali się nietylko pracowitymi, ale i oszczędnymi, a więc pracodawcy zaczęli się o nich ubiegać. Wywołało to silne niezadowolenie między lwowską ludnością robotniczą, które doprowadziło do ekscesów, a mianowicie do gromadnych napadów na Mazurów. Wprawdzie wdanie się policji zapobiegło możliwym smutnym następstwom, bo skończyło się tylko na kilku siniakach, ale fakt ten dokładnie ilustruje przykre stosunki i wzmagającą się nienawiść już nie rasową, lecz zaściankową. Prowodyrami w tych zajściach mieli być wybitniejsi członkowie jednej z partji socjalistycznych, którzy chcieli wymierzyć przy sposobności zemstę pośrednią na przywódzcy odłamu socjalistów, zowiącego się „robotniczą partją socjalistyczną". Jest nim p. dr. Breiter, którego ojciec właśnie używa Mazurów przy budowie drugiego toru kolei ze Lwowa do Złoczowa.

Fakt ten jest zarazem wysoce charakterystyczny, jako wykazujący różnicę praktyki i zasad: równouprawnienie bowiem i wolność zarobkowania należą wszakże do haseł socjalistycznych. Ale wogóle od socjalizmu naszego konsekwencyi trudno wymagać, jest jeszcze bowiem zbyt młody, a niski stan oświaty między robotnikami daje łatwe pole rozmaitym jednostkom do puszczania wody na swój młyn własny. Nadzieje, przywiązane do reformy wyborczej, nietylko nie przyczyniły się do ścieśnienia szeregów socjalistycznych, ale je rozluźniły. Ktoś zauważył, iż za dużo między przywódzcami socjalistów jest kandydatów na posłów — i kto wie, czy to nie słuszna uwaga. Wyszła we Lwowie broszura napisana przez p. Prawdzica (Juliusza Landmana), która podaje rys ruchu socjalistycznego we Lwowie w ostatnich latach 9-ciu i dowodzi silnego rozłamu, panującego w obozie. W broszurze tej autor wystąpił ostro, nie krępując się wyrażeniami, przeciwko takim przywódzcom jak Diamand, Fraenkel, Daszyński: szczególnie się uwziął na tego ostatniego, jako przywódzcę socyalistów na gruncie narodowym. Już w r. 1891 rozłamali się socyaliści lwowscy na radykalnych i narodowych. Pismo „Robotnik" i „Praca" prowadziły pomiędzy sobą nieustanną walkę. W Stowarzyszeniu „Świt" Breitera zaszedł znowu rozłam, wskutek tego powstało trzecie stowarzyszenie „Sztandar", które oddzieliwszy się od „niezawisłych", tworzy robotniczą partję socjalistyczną". Ton broszury Prawdzica, zarzuty ciskane na przeciwników aż nadto dowodzą, do jakiego stopnia panuje niezgoda w tym obozie.

Z broszury Prawdzica widzimy, że są trzy odłamy socjalistów, a od ks. Stojałowskiego dowiadujemy się, że on stoi na czele czwartej partji socjalistycznej, chłopskiej. Wychodzący w Przemyślu „Kurjer" pomieścił list tego „bojownika za sprawę ludową", w którym wzywa do zgody wobec wspólnego wroga. Wy jesteście socjalistami bez religii, pisze ks. Stojałowski, a my jesteśmy socjalistami na chrześcijańskich podstawach, ale nie teraz pora dla sporu między wami a nami. Później się porachujemy, jak zwyciężymy, a teraz idźmy w zgodzie razem na nieprzyjaciela. Inaczej przepadniemy, bo nie mamy na kogo liczyć, nikt nas nie popiera: ani „lokajska demokracja", ani nędzne dziennikarstwo, które o socyaliźmie umie tylko powiedzieć „kilka czczych frazesów ze starego śmietnika szlacheckiego o ojczyźnie i narodowości". List swój kończy ks. Stojałowski utyskiwaniami nad stańczykostwem na Szląsku. Założył on drukarnią w Czaczy, która jest własnością ludu, a tymczasem przedstawiciele tego ludu, prowodyrzy sprawy narodowej, nie dają tej drukarni nic do roboty.

Kiedy mowa o ludzie, należy kilka słów poświęcić „Kółkom rolniczym"; odbyły one bowiem właśnie swój zjazd doroczny w Tarnopolu. Nie wchodząc w szczegóły obrad, podam tylko kilka cyfr ze sprawozdania głównego Zarządu. W roku ubiegłym założono nowych Kółek 76, tak więc liczba ich ogólna doszła do 50 tysięcy członków. W roku zeszłym dokonano w 260 gminach lustracyi gospodarstw włościańskich, przyczem udzielano wskazówek fachowych 12,000 słuchaczów. Sklepików własnych liczą Kółka 800, czytelnie ich posiadają 72,500 książek i 2407 czasopism. Za wpływem „Kółek" lud coraz więcej interesuje się sprawą wiejskich kas oszczędności, nabiera do nich ufności i składa w nich grosz zapracowany, zamiast go jak dawniej dusić w skrzyniach i chować za piecem. Kasy te prosperują dobrze, a nawet przynoszą finansowe zyski; w kilku wsiach dały fundusz na budowę szkoły, poparły miejscowe przedsiębiorstwa, usunęły karczmy i lichwę. Włościanie zaczynają coraz chętniej się zabezpieczać i dają grosz potrzebny na założenie miejscowych straży ogniowych.

Zarząd „Kółek" pracuje obecnie nad założeniem instytucyi bezpłatnych porad prawnych dla włościan. Widzimy zatem, iż uświadomienie ludu przy pomocy „Kółek rolniczych" postępuje naprzód i dobre przynosi owoce. Świeżo dzienniki doniosły, iż we wsi Jeleń koło Jaworzna, założyli włościanie własne Towarzystwo gimnastyczne „Sokół". Wszystkie te objawy muszą szczerą radością przejmować prawdziwych przyjaciół ludu. Czy ks. Stojałowski może się pochwalić podobnemi owocami swej pracy?

Mogą natomiast pochwalić się inicyatorzy założenia muzeum imienia Matejki w Krakowie. Zebrany przez nich fundusz wynosi już 25,000 złr., co po zaciągnięciu pożyczki daje już możność zakupienia domu, w którym Matejko się urodził i który do ostatnich dni życia zamieszkiwał. Nie ma jednak funduszów na samo muzeum, a z tego powodu postanowiono zawiązać „Towarzystwo imienia Matejki", składające się z członków czynnych, płacących 100 złr. i wspierających z wkładką 6 złr. rocznie. Od ilości członków naturalnie zależeć będzie stopniowe tworzenie muzeum, które na razie posiada tylko zbiór historycznych strojów, makat i starożytnych przedmiotów, pozostały po mistrzu, a zakupiony przez sejm krajowy. Kiedy muzeum zostanie już utworzone i uporządkowane, Towarzystwo rozwiąże się, a zbiory wraz z domem przejdą na własność gminy miasta Krakowa.

Nawiasem mówiąc nie przypominam sobie, aby ta gmina przyczyniła się jakąkolwiek kwotą na cele tego muzeum. Wogóle jest ona nadzwyczaj ciężka do robienia wydatków na cel publiczny, chyba, że poza tym celem kryje się prywatne przedsiębiorstwo. Tak się ma rzecz np. z operą, która przez lato ma kształcić słuch muzykalny Krakowian. Jest to przedsiębiorstwo prywatne, ci co go się podjęli mogą stracić albo zarobić, gmina zatem dosyć daje, jeżeli pozwala dzierżawcy teatru użyczyć gmachu na przedstawienia operowe. Gdyby ten dzierżawca sam postanowił utrzymywać corocznie operę sezonową, miałby słuszne prawo żądać podniesienia subwencyi krajowej. Ale co to kogo obchodzi, że pp. X. i Z. podejmują się na własną rękę przedsiębiorstwa operowego? Tymczasem Rada miejska uchwaliła tym przedsiębiorcom dać 2000 złr. i poprzeć ich prośby o subwencyą w Wydziale krajowym. Tłomaczono mi, że tu idzie o podniesienie muzyki; bardzo ładnie, ale ja mam od dawna myśl podniesienia dziennikarstwa i chciałbym założyć dziennik większy i lepszy od wszystkich istniejących w Galicyi. Redakcya tego dziennika składałaby się z najznakomitszych publicystów, miałaby korespondentów pierwszej wody we wszystkich stolicach europejskich (no i w Japonii, bo to kraj ciekawy) posiadałaby własne druty telefoniczne, drukowałaby fejletony i prace naukowe najznakomitszych literatów i uczonych, zaprowadziłaby wspaniały dział ekonomiczny, dawałaby ilustracye wypadków bieżących i portrety, zakreśliłaby sobie szeroki program podniesienia ekonomicznego, moralnego i umysłowego ludu, dawałaby skuteczną inicyatywę do rozwoju handlu i przemysłu, opiekowałaby się rolnictwem itd. itd. Któż zaprzeczy, że to jest myśl ładna, któż zaprzeczy, że taki dziennik odegrałby wybitną rolę, że w każdej dziedzinie życia naszej prowincyi zaznaczyłby swe istnienie dodatniemi rezultatami. Jakaś tam opera toć to głupstwo wobec doniosłych rezultatów, jakieby dziennik taki sprowadził, zwłaszcza, że warunki jego prenumeraty byłyby przystępne dla sfer mało zamożnych. A jednak, klnę się na wszystkich bogów Olimpu, że Rada miejska na dziennik ten nie przeznaczyłaby nawet 100 złr. rocznie, tłomacząc się, że jestto... przedsiębiorstwo prywatne. Dla czegoż więc daje subwencye prywatnemu przedsiębiorstwu operowemu?

K. Bartoszewicz.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Frekwencya wyższych szkół w Prusiech w latach 1872—1892.

Z szczególniejszem uwzględnieniem prowincyi przez ludność polską zamieszkanych.

Napisał
Romuald Łazęga.

Pod wyględem wyznań było pomiędzy uczniami:

a) w Prusiech zachodnich:

Tab. 8.

w latach:	ewangelików	katolików	żydów	czyli 1 uczeń na głów ludności u ewang.	katol.	żydów
1872-3—75-6	—	—	—	—	—	—
1876-7—80-1	4391	1238	772	150	543	35
1881-2—85-6	4325	967	735	155	722	35
1886-7—90-1	4095	1028	662	165	690	38
1891-2—92-3	4132	1159	572	165	698	38

b) w Księstwie Poznańskiem:

Tab. 9.

w latach:	ewangielików	katolików	żydów	czyli 1 uczeń na głów ludności u ewang.	katol.	żydów
1872-3—1875-6	2751	1915	1390	187	530	45
1876-7—1880-1	2902	1539	1387	181	693	43
1881-2—1885-6	3074	1577	1483	173	711	36
1886-7—1890-1	3163	1626	1225	170	705	39
1891-2—1892-3	2908	1736	1070	182	671	41

c) w Szląsku:

Tab. 10.

w latach:	ewangielików	katolików	żydów	czyli 1 uczeń na głów ludności u ewang.	katol.	żydów.
1872-3—1875-6	7664	4521	2013	233	426	23
1876-7—1880-1	8364	4506	2418	220	448	21
1881-2—1885-6	8152	4468	2461	231	474	21
1886-7—1890-1	8299	4665	2129	230	464	23
1891-2—1892-3	7847	4744	1981	245	474	24

Z porównania tych tabel wynika, iż co do względnej ilości uczniów swego wyznania ewangielicy najlepiej postawieni byli w Prusiech zachodnich, gorzej nieco w Księstwie Poznańskiem, a najgorzej w Szląsku, gdzie cyfra ich nie dochodziła wysokości przeciętnej cyfry, wypośrodkowanej przez nas dla wyznania ewangielickiego w tabeli 2.

Żydzi najlepiej byli postawieni w Szląsku, najgorzej w Księstwie Poznańskiem. Jeżeli zaś względna ich liczba w czasach ostatnich zdawała się zmniejszać po wyższych zakładach naukowych wszystkich trzech prowincyi, to pozory te nie powinny nas łudzić. Albowiem wielu z nich odwiedza szkoły w Berlinie i innych wielkich miastach, korzystając z ofiarności bogatych współwyznawców lub też bogatych krewnych.

Katolicy na zbytek inteligencyi skarzyć się nie mogą. Osobliwie smutnie wygląda pod tym względem w Księstwie Poznańskiem, gdzie liczba przeciętna uczniów szkół wyższych zredukowana do cyfr ludności katolickiej, jest stanowczo niższą niż na Szląsku i tylko w dwóch okresach t. j. w latach 1881-2—1885-6 i 1891-2 do 1892-3 o 11, odnośnie o 27 wyższą, natomiast w dwóch innych peryodach, w latach 1876-7—1880-1 i 1885-6—1890-1 o 150, odnośnie 15 niższą niż w Prusiech zachodnich.

Podług poszczególnych kategoryi zakładów było:

a) w Prusiech zachodnich:

Tab. 11.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewangielików	katolików	żydów	w gimnazyach realnych: ewangielików	katolików	żydów	w innych zakładach realnych: ewangielików	katolików	żydów
1872-3—1875-6	—	—	—	—	—	—	—	—	—
1876-7—1880-1	2606	1073	592	1220	95	132	565	70	48
1881-2—1885-6	2789	834	611	1037	75	67	479	58	57
1886-7—1890-1	2727	913	494	854	53	43	514	62	65
1891-2—1892-3	2504	1021	418	719	45	36	909	93	118

b) w Księstwie Poznańskiem:

Tab. 12.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewang.	katol.	żydów	w gimnazyach realnych: ewang.	katol.	żydów
1872-3—1875-6	1852	1670	1075	899	245	315
1876-7—1880-1	2050	1335	1079	852	204	308
1881-2—1885-6	2328	1347	1268	746	230	215
1886-7—1890-1	2435	1437	1028	728	189	197
1891-2—1892-3	2304	1582	891	604	154	179

c) na Szląsku.

Tab. 13.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewangielików	katolików	żydów	w gimnazyach realnych: ewangielików	katolików.	żydów	w innych zakładach realnych: ewangielików	katolików	żydów
1872-3—1875-6	5169	3889	1600	2050	552	350	445	80	54
1876-7—1880-1	5500	3640	1926	1788	527	329	1076	339	163
1881-2—1885-6	5509	3559	1875	1312	371	266	1331	538	320
1886-7—1890-1	5371	3704	1524	1165	385	237	1732	576	368
1891-2—1892-3	4824	3844	1384	1158	362	209	1855	568	388

Przypada zatem 1 uczeń na głów ludności:

a) w Prusach zachodnich:

Tab. 14.

w latach:	w gimnazyach klasycznych u ewangielików.	katolików.	żydów.	w gimnazyach realnych u ewangielików.	katolików.	żydów.	w innych zakładach realnych u ewangielików.	katolików.	żydów.
1876-7—1880-1	253	627	45	541	7082	202	1168	9611	555
1881-2—1885-6	240	837	42	634	9302	382	1399	12030	449
1886-7—1890-1	247	777	47	790	12390	540	1313	11450	357
1891-2—1892-3	272	703	52	947	15940	604	749	7715	184

b) w Księstwie Poznańskiem:

Tab. 15.

w latach:	w gimnazyach klas. u ewan-gieli-ków.	katoli-ków.	żydów.	w gimnazyach realnych u ewan-gieli-ków.	katoli-ków.	żydów.
1872-3—1875-6	277	608	58	572	4143	198
1876-7—1880-1	256	799	55	616	5230	193
1881-2—1885-6	229	832	42	718	4874	250
1886-7—1890-1	220	798	46	737	6069	242
1891-2—1892-3	235	736	50	897	7558	253

c) na Szląsku:

Tab. 16.

w latach:	w gimnazyach klasy-cznych u ewangie-lików.	katoli-ków.	żydów.	w gimnazyach reel-nych u ewangie-lików.	katoli-ków.	żydów.	w innych zakładach realnych u ewangie-lików.	katoli-ków.	żydów.
1872-3—1875-6	346	496	29	873	3491	133	4020	24090	864
1876-7—18 0-1	334	555	26	1030	3883	151	1712	5959	306
1881-2—1885-6	341	595	29	1434	5712	196	1413	3939	163
1886-7—1890-1	355	584	32	1638	5621	209	1083	3757	134
1891-2—1892-2	398	589	35	1659	6207	230	1030	3956	124

Z powyższych tabel wynika niewątpliwie, że szkoły dla wyższej inteligencyi przeznaczone, tj. gimnazya klasyczne, ze wszystkich trzech prowincyi najsłabiej w Księstwie przez ludność katolicką były uczęszczane. Jedynie bowiem w Prusiech zachodnich w latach 1881-2—85-6 ilość głów na jaką przeciętnie przypadał 1 uczeń w Prusiech zachodnich była o 5 większą niż w Księstwie. Zresztą predylekcya ludności do gimnazyum klasycznego, jaką wykazaliśmy w tabelach 3 i 4, w prowincyach przez ludność polską zamieszkanych występuje tylko tem wybitniej.

Co do ilości abituryentów poprzestajemy na cyfrach, odnoszących się do gimnazyów klasycznych, jako tej kategoryi szkół wyższych, które dla ludności katolickiej trzech prowincyi wschodnich największe mają znaczenie. Ale i te dokładniejsze dane, rozspecyalizowane podług wyznań, poczynają się z r. 1883-4, tak iż tylko obliczenia nasze co do lat 1883-4—1892-3 za dokładne uchodzić mogą.

Podług tych tedy zestawień było w przecięciu rocznem pomiędzy abiturentami:

Tab. 17.

w latach:	w Prusiech zachodnich u ewang.	katol.	żyd.	w Księstwie Poznańskiem u ewang.	katol.	żyd.	na Szląsku u ewang.	katol.	żyd.
1883-4—1885-6	102	27	19	84	40	53	202	131	67
1886-7—1890-1	122	46	23	96	45	39	200	130	57
1891-2—1892-3	110	58	24	105	55	32	201	140	63

Przypadał zatem 1 abiturent na uczniów:

Tab. 18.

w latach:	w Prusiech zachodnich u ewang.	katol.	żyd.	w Księstwie Poznańskiem u ewang.	katol.	żyd.	na Szląsku u ewang.	katol.	żyd.
1883-4 - 1885-6	27,3	30,9	32,2	28,0	33,7	23,9	27,1	27,2	29,0
1886-7—1890-1	22,3	19,8	31,5	25,4	31,9	26,4	26,9	28,5	26,6
1891-2—1892-3	23,7	17,6	17,4	22,0	28,8	28,0	24,0	27,2	22,0

Jak zatem widzimy i pod względem produkcyi abituryentów ludność katolicka Księstwa Poznańskiego wyróżnia się bardzo niekorzystnie od ludności dwóch drugich prowincyi. Objaw to wielce poważny i godzien zastanowienia. Jakkolwiek bowiem nie każdy, który kończy szkoły, wychodzi z nich uczonym, ilość przecież odwiedzających i kończących szkoły wyższe jest jedyną miarą, z której pomocą stopień rozszerzenia wyższej oświaty wśród klas przodujących oznaczyć możemy. My, poprzestając na cyfrowem stwierdzenin tego faktu, zbadanie jego przyczyn pozostawiamy innym.

NA WYŁOMIE.

(Wydziedziczeni. — Słodki sen i smutne przebudzenie. — Co czynić? — Niemieckość na wystawie.)

Jutro zatem otwarcie poznańskiej wystawy, a nad nią jak krzyk puszczyka unoszą się słowa naczelnego prezesa: „Jeżeli jedno polskie zdanie padnie w uroczystym akcie, jeżeli jeden toast polski zabrzmi na uczcie, ja wraz z reprezentantami rządu natychmiast ten opuszczę.“

Niemiecka większość komitetu tych słów się ulękła i lubo „prawa o języku urzędowym“ do prywatnego przedsiębiorstwa wystawy stósować nie można, skreślono z programu polskie przemówienia i polskie toasty. Liczono na potulność naszą i giętkość lojalnego karku, ale przeciągnięto strunę i — pękła. Polscy członkowie komitetu i grup poszczególnych zaprotestowali jednomyślnie w doskonale zredagowanem oświadczeniu przeciw takiemu bezprawiu i zapowiedzieli kategorycznie, że w niedzielę nikt z podpisanych nie zjawi się na placu wystawy. Za przykładem polskich członków komitetu pójdzie niezawodnie całe społeczeństwo nasze i w dniu otwarcia panowie Niemcy będą „sami z sobą“. Dla nas wystawa zaczyna się dopiero w poniedziałek, — niedziela z piętnem germańskiej buty i szowinizmu na czole nie istnieje dla polskiego narodu. Z okrzykiem „*Hoch!*“ nie złączy się polskie „Niech żyje“, — ha! może to i lepiej.

Co do mnie to wyznaję otwarcie, że w irytujących wypadkach dni ostatnich krew moja nie kipiała tak gorąco, jak u wielu z kolegów, przyjaciół i znajomych, bo „piorunem z jasnego nieba“ nie był dla mnie figiel teutoński. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że w samych początkach dziejów wystawowych głosem Kassandry wróżyłem klęski i zawody, a gdy prezesa komisyi kolonizacyjnej powołano do honorowego komitetu, rzuciłem słowo: „On albo my! wybierajcie!“ Przeczuwała już wonczas redakcya nasza, że na tym pierwszym beztakcie *nie* skończy się teutońska bezwzględność, ale jak owa wróżka trojańska, której smutnym proroctwom nikt nie uwierzył, aż święte Ilium w proch nie runęło, tak i my samotni staliśmy wonczas, — bez echa. Do ukołysania społeczeństwa w słodki optymizm przyczynił się oczywiście niemało „Dziennik Poznański“, który — któż zgadnie z jakich powodów? — ogłosił fałsz tendencyjny, że prezes komisyi kolonizacyjnej z komitetu wystawy ustąpił. Później przekonano się, że plotkę tę puszczono jedynie dla zbałamucenia opinii, ale „organ poważny“ nie sprostował informacyi błędnej i społeczeństwo nasze, uwiedzione na razie bajeczką „Dziennika“, złudzone obietnicą równouprawnienia obu języków i pociągnięte nęcącą pobudką prasy, zawarło polsko-niemieckie przymierze.

Niemieckiej większości komitetu oddać muszę tę sprawiedliwość, że z małemi wyjątkami nie nadwyrężała dość długo harmonii dwóch obcych sobie społeczeństw. Widzieliśmy dwujęzyczne ogłoszenia, listy, katalogi, plakaty, a choć od czasu do czasu odzywało się polskie sykanie, spowodowane ukłuciem niemieckich szpileczek, nigdy zgrzyt silniejszego dysonansu nie zmącił zgodnego współdziałania. Mimo to jednak nie mogłem się pozbyć jakiegoś głuchego przeczucia, że w stanowczej chwili szarpną nas za serce i podepczą stopą brutalną.

Oni? Wszak świadczy historya, że z tej strony tylko zdrada pełzała po kraju i krzyk wojny i płomienne języki pożogi. „Krzyżackiego gadu nie ugłaszcze nikt“ — tak przed wiekami mówili Litwini, a dziś?

„Dziś to rycerstwo nie ma już mocy,
Lecz mu pazury zostały,
Dawniej grabiło wśród ciemnej nocy,
A dzisiaj grabi w dzień biały“.

Tak śpiewa Kraushar w swoich „Strofach“ serdecznych.

Ostatnia krzywda jest tylko jednem ogniwem długiego łańcucha bezprawi, które z tej strony na nas spłynęły. Stało się! W niedzielę noga polska nie postoi na placu wystawy, ale cofnąć się zupełnie od igrzysk przemysłu dziś już niepodobno. Utopiliśmy w wielkiem przedsiębiorstwie tysiące i dziesiątki tysięcy, z najwyższym trudem zgromadziliśmy okazy pracy naszej w hallach i pawilonach, więc mowy być nie może o bojkocie wystawy. Ani kapitałów gwarancyjnych wycofać, ani przedmiotów wystawionych usunąć nie wolno, — ratujmy to, co ratować można, pilnujmy hardo i sumiennie resztki praw naszych, by ich nie ukrócono. A zakusy ku temu zjawiły się podobno w pawilonie pracy kobiecej, gdzie jakieś niemieckie „coś“ w spodniach czy w spódnicy, burmistrzuje aż miło.

Nienasycony naród! Zdobył wystawę, wycisnął na niej swój niemiecki stempel i jeszcze się pieni, jeszcze zazdrością dyszy, gdy wśród

potopu niemieckich okazów ujrzy znak drobny życia polskiego. Przecież my palmy zwycięztwa wydrzeć mu nie możemy, bo przy pomocy innych prowincyi swoich, które nas za pośrednictwem miejscowych reprezentacyi zasypały niemieckim przemysłem, tryumfować musi na igrzysk arenie. Dziś jeszcze wystawa jest polską, gdyż mnóstwo ludu naszego pracuje nad tualetą tej pani, i język polski króluje wszędzie; ale niebawem, gdy ten tłum mrówek roboczych spełni zadanie swoje i „pani Wystawa“ zaprezentuje się *„à quatre épingles“*, ujrzymy Niemkę — *„Kennst du ihre Farben?“* Jeżeli nie znasz, to przejdź się do pawilonu restauracyjnego lub do piwiarni. Zbudowane w staroniemieckim stylu, z niemieckimi rycerzami na ścianach, z niemieckiemi wierszykami o „Gerstensaft“ i „gutem Trunk“, a wewnątrz na polskie: „Proszę o piwo“ odpowiada niemieckie: „Was? ich verstehe nicht“. A jest to jedyna restauracya i jedyna piwiarnia, więc nie ma wyboru. Idź i mów po niemiecku, — tak się kończą zalecanki i polsko-niemieckie przymierza.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nakładem warszawskiej firmy księgarskiej M. A. Wizbeka, a z pod tłoczni drukarskich Sierpińskiego, wyszedł nader wdzięcznie i wykwintnie wydany nowy utwór znanego poety i powieściopisarza Kazimierza Glińskiego p. t. „Chata Nikodema.“ Jest to uscenizowana drobnostka poetycka, wyposażona właściwemi Glińskiemu zaletami pióra, w których wykwint formy idzie o lepsze z dobrze pomyślaną treścią. Wiersz gładki, pełen siły, nieskażony obcemi naleciałościami język — oto zalety wydanego utworu. W Salusi, córce gminu, którą przygarnął do siebie, dając jej swe nazwisko, hr. Izydor, kocha się syn jego, hr. August. Salusia, siedmnastoletnie dziewczę, nie wie o swojem pochodzeniu; instynktownie tylko lgnie do maluczkich, otaczając ich swą opieką, przychodząc im nieraz z pomocą. W chwili, gdy hrabia-ojciec spostrzegł, iż miłość Augusta do Salusi nie jest siostrzaną, opowiada synowi historyę pochodzenia dziewczęcia. Opowieść tę podsłuchała Salusia; z uśmiechem na ustach, z sercem, przepełnionem radością, pyta, czy ona istotnie chłopskie dziecię? — „Teraz pójdę śmiele — rzecze —

„Gdzie serca chore, gdzie się myśl rozprasza,
Jak niezwiązane pilną ręką ziele —
I powiem chatom: jestem córka wasza!
I ja wam powiem: drobnem ziarnkiem jestem,
Kłosem pszenicznym i wiatru szelestem —
Nad wygonami pól stanę z uśmiechem,
Miodowem kwieciem wśród łąk się uścielę,
Zapachnę sianem i zadzwonię echem —
Ja — dziecię chłopskie!“

Po wybuchu tej radości następuje chwila zwątpienia: czy kocha ją teraz August? Kocha! bo oto przytula ją do swej piersi, szepcząc: „W takim uścisku tylko przyszłość nasza“. — — „Auguście — chodźmy na mogiłę mamy!“ Życzeniem tem kończy Salusia tę pełną poezyi drobnostkę, której jednak myśl przewodnia pozostawia głębsze wrażenie. Za obdarzenie literatury naszej tą istną perełką poetycką należy się autorowi podzięka.

* * *

Wiktor Hahn. Studyum nad genezą Lilli Wenedy. Lwów 1894. Nazwisko Wiktora Hahna zyskało sobie w ostatnich czasach zasłużone uznanie wśród historyków literatury, a najświeższa rozprawka młodego badacza o genezie Lilli Wenedy jest nowym dowodem, że autor rozporządza obfitym zasobem wiedzy i posiada metodę doskonałą. W pracy swojej o Lilli Wenedzie wykazuje Hahn wpływy Müllera, Byrona a mianowicie Chateaubrianda na dramatyczny utwór Słowackiego, wspominając także pewne ślady Chateaubriandowskiego „René“ w Anhellim. Myli się jednak młody uczony twierdząc, że on pierwszy odkrył pokrewieństwo między religijną epopeją, napisaną w prozie: „Les Martyrs“ a Lillą Wenedą, bo już w roku 1892 podał p. Gasztowt w „Bulletin polonais“ wyjątek z przedmowy swojej do francuzkiego przekładu Lilli Wenedy, w którym mówiąc o wpływie „Męczenników“ na Słowackiego, tak się wyraża:

„Utwierdza mnie w tem mniemaniu kilka reminiscencyi w szczegółach utworu n. p. kreacya dwóch Wenedów, przypominających nadzwyczaj owych dwóch Franków w bitwie, tak wymownie opowiedzianej przez Eudoksję, — oraz kapłanka Weneda, wykazująca pewne podobieństwo do Velledy, z wyjątkiem jej przygód romantycznych, bo Słowacki nie posiada wcale tej zmysłowości, która według zdania Sainte-Beuve'a jest jednym z żywiołów talentu Chateaubrianda“.

W dalszym ciągu francuzkiej rozprawy swojej wykazuje Gasztowt, że Słowacki chciał poprawić Chateaubrianda „sprowadzając do ludzkich rozmiarów chrześcijański heroizm świętych w pierwszych stuleciach“.

Pomijając tę niedokładność, odznacza się praca p. Wiktora Hahna bogatym materyałem porównawczo — dowodowym i ścisłością argumentacyi.

W. R.

* * *

Nieznany wiersz Słowackiego. P. Méyet w „Sztambuchu matki Juljusza Słowackiego“, będącym własnością autora, znalazł między innemi nieznany wiersz, który Słowacki zapisał w sztambuchu Ludwika Spitznagla, swego przyjaciela i kolegi, o którym poeta w swym pamiętniku powiada, iż „był to kwiat piękny, który nie wydał owocu“. Jak wiadomo, Spitznagel w młodym wieku zakończył życie samobójstwem. Powtarzamy tu ów wiersz, podany przez p. M. po raz pierwszy w całości (dotychczas znaną była tylko jedna zwrotka, powtórzona przez Słowackiego w „Pamiętniku“).

Do Ludwika Spitznagla.

Ludwiku!... jak dwie gwiazdy podobne na niebie
Wiecznie nieznana siła oddala od siebie,
Tak i my na tej świata rozległej przestrzeni
Choć myślą, sercem blizcy — losem rozłączeni.

Wkrótce, gdy ci na morzu jutrzenka zaświeci,
Kiedy usłyszysz w żaglach lekkie wiatru tchnienie,
Pomyśl, że to ostatnie przyjaźni westchnienie,
Które na skrzydłach myśli aż za tobą leci.

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje:
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie;
Ona ciebie przeniesie w twe rodzinne kraje,
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie.

Pozwól więc, pozwól bujać swojej wyobraźni,
Poświęć chwilę wspomnieniom i szczerej przyjaźni:
Niestety, jak dwie gwiazdy podobne na niebie,
Wiecznie nas przeznaczenie oddali od siebie.

* * *

Redakcyę „Oesterr. Musik- u. Theater-Zeitung“ (Wiedeń-Lipsk), najpoważniejszego pisma muzycznego w monarchii austryackiej, objął z dniem 1 maja znany, obecnie we Wiedniu zamieszkały muzyk czeski Brzetysław Lwowsky. Nowy redaktor wyznaczył z natury rzeczy muzyce słowiańskiej wybitne miejsce w swem świetnie redagowanem piśmie. W ostatnim numerze z 16go bm. zamieszcza St. Meliński obszerny artykuł sprawozdawczy o najnowszym ruchu muzycznym polskim w ogóle, a w szczególności we Lwowie.

* * *

Nakładem wiedeńskiej (!) firmy Bondego wychodzić zaczęła „Historya powszechna ilustrowana“, opracowana na podstawie najnowszych badań historycznych, z szczególnem uwzględnieniem historyi polskiej pod kierownictwem prof. dr. Kubali przez prof. dr. Czesława Pieniążka, dr. Henryka Sawczyńskiego i Alfreda Szczepańskiego. Dzieło to, składające się z 12 tomów (każdy tom 40 arkuszy druku) zawierać będzie około 3000 ilustracyi, map, planów i podobizn rękopisów. Dotychczas ukazały się dwa tomy: Część pierwsza historyi starożytnej i część pierwsza czasów nowożytnych, — a początek ten świadczy wymownie, że wydawnictwo „Historyi powszechnej“ posiada tak pod względem naukowym jak literackim i ornamentacyjnym wybitne zalety. Tom pierwszy dziejów starożytnych opracowany według wydawnictwa Spamera przez prof. Pieniążka obejmuje historyą czasów najdawniejszych aż do zawiązków historyi greckiej, a zawiera przeszło 200 ilustracyi i 22 kartony. Tom pierwszy historyi nowożytnej, opracowany (również według Spamera) przez Alfreda Szczepańskiego, zawiera dokładny obraz epoki odkryć i reformacyi aż do panowania Filipa II. W tomie tym znajduje się przeszło 150 pięknych ilustracyi i 21 kartonów.

* *

W poznańskich księgarniach ukazał się obraz metrowej wielkości w heliograwurze, przedstawiający jeden z najsłynniejszych utworów Grottgera p. t. „Pochód na Sybir“. Wykonanie tej heliograwury wyróżnia się pięknością swoją od innych podobnych wydawnictw, a zaleca się nadto niezwykłą niskością ceny (3 marki za egzemplarz). Artyzm obrazu, treść patryotyczna i taniość uderzająca zgotowały taką popularność wydawnictwu temu, że, jak nas poinformowali księgarze, rozchodzi się ono z niesłychaną szybkością nietylko w Polsce, lecz nawet w Ameryce i Anglii. Nazwisko wydawcy i nakładcy nie jest obce polskiej publiczności, bo jest nim p. Adam Kaczurba z Krakowa, który mnóstwem wydawnictw artystycznych, a mianowicie pomnikowem dziełem „Katedry Wawelskiej“ zjednał sobie rozgłos szeroki i zasłużone uznanie.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Na wystawie etnograficznej w Pradze przyszło do kilkunastu aresztowań z powodu odśpiewania zakazanych pieśni narodowych przez grono młodzieży rzemieślniczej i akademickiej. Wypadek ten stara się prasa niemiecka rozdąć do rozmiarów niebepiecznej demonstracyi. — Nominacyę hr. Gołuchowskiego ministrem spraw zewnętrznych w Austryi przyjęła dość przychylnie prasa niemiecka i francuzka. — Wojska hiszpańskie na Kubie odniosły pod Guantanamo zwycięztwo nad powstańcami. Mimo to sprawa powstańców stoi pomyślnie, a pisma amerykańskie donoszą codziennie nieomal o ciężkich stratach, jakie Hiszpanie ponoszą w drobnych utarczkach. — W Międzyrzeczu odbyło się wielkie zebranie antysemickie, na którem przemawiał znany agitator Werner Mówca krytykował ostro socyalną demokracyę i spółkę K. H. T. Na rozkaz ministra Bossego zagroził swego czasu rektor uniwersytetu wrocławskiego akademikom, którzyby podpisali petycyę o odrzucenie projektu przewrotowego, karą dyscyplinarną. Senat jednakże oświadczył jednogłośnie, że nie może ukarać odnośnych akademików, ponieważ nie uczynili niczego, coby się nie zgadzało z prawami akademickiemi.

Teatr i muzyka. Poznańskie towarzystwo dramatyczne, podróżujące w letnich miesiącach po miastach prowincyonalnych zeszczupleje niebawem. Wyjeżdżają bowiem do teatru łódzkiego pp. Trapszo i Rapacki, oraz p. Helena Zimajer. Pierwszy powraca do Łodzi na urząd reżysera. — Mieczysław Frenkiel rozpocznie szereg gościnnych występów we Lwowie 8 lipca. Znana i poznańskiej publiczności pani Bissen-Janowska wystąpi gościnnie na krakowskiej scenie. — Według „Tempsa„ ma być w teatrze „des Poetes“ przedstawioną „Baladyna“ Slowakiego w przekładzie Gasztowta. — Wzbroniona zrazu w Kopenhadze sztuka Esmana p. t. „Wielka Maskarada“ wystawioną została w „Dagmar-teatrze“ z miernem powodzeniem. Juljusz Massenet pracuje nad nową operą, która ma nosić tytuł „Frou-Frou“ i opierać się na treści znanego dramatu Meilhaca i Halevyego tejże nazwy. Panna Marya Grass, artystka teatrów rządowych w Warszawie, posiadająca głos altowy rzadkiej piękności i siły, śpiewała na próbę 16 b. m. w Dreznie w obecności intendanta teatrów król. i wielu powag muzycznych. Artystka nasza tak zachwyciła słuchaczów, że słynny maestro Lamperti podjął się „kontraktowo“ ostatecznego kształcenia jej głosu, rokując jej przyszłość niepospolitą

Zmarli:

Feliks Jaroński, muzyk i kompozytor dumek, zm. w Kielcach w początkach maja.

Franciszek Suppé, znany kompozytor operetkowy, zm 22 bm. we Wiedniu

Odpowiedzi Redakcyi.

Eliza B. Dla zachęty zamieszczamy. Przekładów chwilowo przyjąć nie możemy, bo odcinek nasz na czas dłuższy zajęty. Racz Pani zgłosić się do nas w początkach jesieni i odsłonić swój pseudonim. Nazwisko pozostanie oczywiście tajemnicą redakcyi.

N 100 N. Tak sądzi całe inteligentne społeczeństwo, ale nie ma odwagi wypowiedzieć zdania swojego otwarcie. Ze obrażona, a w tym wypadku chorobliwa próżność mścić się będzie w sposób nieszlachetny, roznosić plotki kłamliwe, rzucać z za płotu kamieniem i „na złość“ zmieniać przekonania swoje, to stara historya, powtarzająca sią zawsze u natur niskich. Zresztą tam przekonań nie było nigdy Była tylko zdolność wypowiadania czczych ogólników i tyrad bez sensu z filozoficzną powagą.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.